KULTURA i BIZNES®

Magazyn Kulturalno-Społeczny · Rok XXIV · Nr 83 · Łódź, 2026 · ISSN 1644-4043 · Egzemplarz bezpłatny

Przyszłość należy do kultury, nie do polityki – *Św. Jan Paweł II*

W numerze m.in.: pożegnania, rocznicowe foto, Nagroda Perły Tańca, Geotermia Mazowiecka SA, o pomniku Adama Mickiewicza w Wilnie, nowa książka o „Rawie Mazowieckiej i ziemi rawskiej w XX wieku", Michał Klubiński o festiwalu „Chopin i jego Europa", Roman Markowicz o festiwalu chopinowskim w Dusznikach-Zdroju 2026, Anna Markiewicz o Janie Kasprowiczu i jego Zakopanem, Jerzy Biernacki o książkach o Żydach, Tomasz Kiejdo o Ferdynandzie Ruszczycu, o Fundacji Zygmunta Zaleskiego

POLSKIE ROCZNICE I ŚWIĘTA

80. rocznica śmierci prof. Ignacego Mościckiego, naukowca-chemika, polityka (socjalisty, piłsudczyka), profesora kilku uczelni, w tym rektora Politechniki Lwowskiej, wreszcie prezydenta Polski w latach 1926–1939. I. Mościcki urodził się 1 grudnia 1867 roku w ziemiańskiej rodzinie we wsi Mierzanowo w pow. ciechanowskim (ob. woj. mazowieckie), zmarł natomiast 2 października 1946 roku w Szwajcarii, w Versoix. Zasłynął z pozyskania kwasu azotowego z powietrza i opracowania przemysłowej metody na jego otrzymywanie. Był autorem ponad 40 patentów, 60 prac naukowych, organizował po 1918 r. polski przemysł chemiczny, inicjator budowy (1927) Państwowej Fabryki Związków Azotowych tzw. Chorzów II, ob. lokalizacja to Tarnów-Mościska; opracowywał i udoskonalał metody rafinacji ropy naftowej.

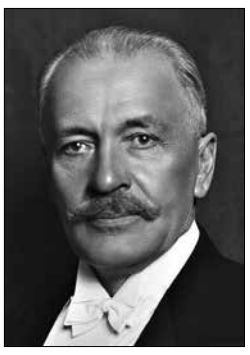

Jeśli chodzi o życie prywatne, żonaty był dwa razy, pierwszą żoną była p. Michalina Czyżewska poślubiona w 1892 r., zmarła 18 VIII 1932 r. Po roku od jej śmierci, poślubił 10 X 1933 r. (wg sugestii umierającej już żony) sekretarkę zmarłej żony, młodszą o 29 lat Marię Nagórną z Hubal-Dobrzańskich (1896–1979), rozwódkę, nieważność jej małżeństwa z Tadeuszem Nagórnym Kościół stwierdził jeszcze w 1923 r. Z Michaliną miał dwie córki i trzech synów, pierwsza zmarła w dzieciństwie, drugą była Helena (1897–1962) 1-voto Tadeuszowa Zwisłocka, 2-voto Bobkowska. Synowie: Michał (1894–1961) dyplomata; Józef Wiktor (1898–1955) dyplomata; Franciszek Józef (1899–1927), oficer Wojska Polskiego.

1 VIII 1926 – zmarł Jan Kasprowicz, poeta, dramaturg, tłumacz, krytyk literacki. O tym wybitnym Polaku, w setną rocznicę jego śmierci czytaj na str. 6 i 7, jak pisze autorka: Senat Rzeczypospolitej Polskiej podjął uchwałę oddającą „hołd wybitnemu poecie, dramatopisarzowi i tłumaczowi, jednemu z najwybitniejszych przedstawicieli literatury Młodej Polski, którego twórczość na trwałe wpisała się w kulturę narodową". Ponadto, rok 2026 został ustanowiony Rokiem Jana Kasprowicza przez: Radę Miasta Zakopane, Sejmik Województwa Wielkopolskiego, Powiat Inowrocławski. To nie tylko symboliczny gest, ale też zobowiązanie, by rocznica została uczczona z odpowiednim rozmachem. ■

KULTURA

Andrzej Rosiewicz

Fot. Czesław Czaplicki, 2025

Jest to utalentowany polski artysta estradowy, autor tekstów, pieśniarz, tancerz, sam rozpowszechnia ciekawą, ale i usprawiedliwiającą go opinie, że Pan Bóg nakazał mu być błaznem. Napisał mnóstwo piosenek, także politycznych i patriotycznych! Wiele znanych mi poważnych osób ze wzruszeniem słucha jego piosenki (autor tekstu i melodii) *Pytasz mnie,* z 1984 roku – jej tekst wewnątrz gazety. Istotnie, to zgrabnie ułożona piękna piosenka, choć inni woleliby, aby Rosiewicz dalej nas bawił, rozśmieszał, „małpował" – ale nie wzruszał. Jurorka pewnego programu telewizyjnego ośmieszyła się, atakując słownie młodego utalentowanego wykonawcę w tym programie, że zaśpiewał tę piosenkę. Rosiewicz zapytał wtedy: a jak by zareagowała, gdyby ktoś zaśpiewał piosenkę *Powrócisz tu…* A czy opisy polskości Mickiewicza, to dla tej jurorki też obciach?

Andrzej Rosiewicz urodził się w Międzylesiu (ob. w granicach Warszawy) 1 czerwca 1944 roku, czyli tuż przed wybuchem Powstania Warszawskiego. Po wojnie, w stolicy dorastał, dojrzewał, rozwijał swoje talenty. Z wykształcenia jest… meliorantem, inżynierem tej specjalności, absolwentem Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Ale jako nastolatek, „po szkole", wieczorami, młodzieniec ów kształcił się także muzycznie, wokalnie i przez cztery lata uczył się śpiewu, emisji głosu; ukończył średnią szkołę muzyczną. Od 9-go roku życia tańczył w dziecięcym zespole pieśni i tańca, wygrywał konkursy muzyczne, jako nastolatek śpiewał standardy jazzowe – zatem nie dziwi, że wyrósł na wszechstronnego artystę estradowego. O Andrzeju Rosiewiczu czyt. na str. 10–11.

BIZNES

Geotermia Mazowiecka S.A.

Geotermia, czyli energia geotermalna, to odnawialne źródło energii, czerpiące ją z wnętrza Ziemi. Najpopularniejsze to wody termalne, tj. gorące wody (np. 72 oC) lub para wodna wydobywane z wnętrza Ziemi do celów przemysłowych, do ogrzewania obiektów na Ziemi (np. mieszkań), rekreacji czy rolnictwa. Ciepła woda wydobywana na powierzchnię wykorzystywana jest także do produkcji energii elektrycznej. W wielu miastach powstały i powstają od kon. XX w. zakłady geotermiczne, jednym z nich i jednym z najstarszych jest Geotermia Mazowiecka z Mszczonowa. Zakład ten poza działalnością biznesową jest aktywny w sponsorowaniu kultury – o czym piszemy wewnątrz gazety.

Zakład w Mszczonowie istnieje od 2000 roku, powstał jako trzeci tego typu w Polsce. Wydobywa się tu ze skał wodę geotermalną, która jest wykorzystywana w ciepłownictwie, do celów rekreacyjnych oraz do picia – co jak się okazuje, jest ewenementem na skalę europejską.

Spółka Geotermia Mazowiecka SA zarejestrowana jest w Sądzie Rejonowym dla Łodzi Śródmieścia, posiada siedzibę w Mszczonowie przy ul. Spółdzielczej 9a, jej kapitał zakładowy wynosi 15,104 mln zł. O Geotermii Mazowieckiej czytaj na str. 19.

Nowa książka o Rawie

Ukazała się książka *Rawa Mazowiecka i ziemia rawska w XX wieku*, autorstwa piszącego te słowa Wojciecha Stanisława Grochowalskiego, wydawnictwa Fundacji Kultury i Biznesu. Mimo ograniczenia czasowego w tytule, książką ma obszerne rawskie kalendarium historyczne począwszy od zarania dziejów do 1900 r., a wszystkie opisane w dziesięciu rozdziałach zagadnienia „dociągnięto" i opisano do 2025 roku. Najobszerniejszy rozdział ma tytuł „Życie gospodarcze".

Książka powstała na zamówienie Samorządowego Stowarzyszenia Rozwoju Ziemi Rawskiej. Pisząc ją przejrzałem tysiące dokumentów, zdjęć archiwalnych, obejrzałem mnóstwo map, przeprowadziłem setki rozmów, by opisać Rawę i powiat w XX wieku prawdziwie i takimi, jakie były i jakie są obecnie, jak je widzę. Boleję nad tym, że powiat został tak zmniejszony po 1999 roku – ale wierzę, że zostaną mu przywrócone jego dawne gminy, leżące przecież na Mazowszu Rawskim.

Jest to książka przede wszystkim o ludziach, w drugiej kolejności o zdarzeniach. A opisani ludzie, rawianie to: arystokracja, ziemianie, osoby duchowne, chłopi, mieszczanie, rzemieślnicy i przedsiębiorcy w tym obywatelstwo, ludzie wolnych zawodów, lekarze, apteki i aptekarze, wydawcy i dziennikarze, ludzie kultury, politycy, władze miejskie i powiatowe, samorząd terytorialny w Rawie i powiecie w Polsce Niepodległej 1918–1939 i po 1990 roku. Opisałem przebieg obu wojen światowych w rawskiem, międzywojnie, PRL, organizacje pozarządowe, szkolnictwo, gospodarkę, handel i usługi, przyrodę, turystykę, wreszcie zabytki i kulturę. Wierząc – jak przesłanie tej gazety, że „Przyszłość należy do kultury – nie do polityki" (JP2), postanowiłem zebrany materiał o kulturze wydać w kolejnej (może za rok?) książce, dlatego w tej w skrócie opisałem: artystów sceny, chóry, organy i organistów, orkiestry, film, teatr, kino, fotografię, folklor, etnografię, artystów ludowych w tym śpiewaków, instrumentalistów, kapele.

Treść książki jest podzielona na dziesięć rozdziałów, objętość 968 stron w tym 20 na papierze kredowanym z kolorowymi zdjęciami Rawy i ziemi rawskiej w XXI wieku. Książka zawiera: przypisy, bibliografię, aneksy, indeks nazwisk (ok. 4.500 haseł), indeks miejscowości. Okładki twarde, kolorowe, foliowane, na wyklejkach historyczne mapy ziemi rawskiej.

Dziękuję jako autor i wydawca osobom, które zakupiły subskrypcję (zamieściłem ich listę), dziękuję za wsparcie finansowe wydania książki firmie NOMA Nowicki Machinery oraz Stowarzyszeniu Weteranów Armii Polskiej w Ameryce. Książka jest dostępna u wydawcy (redakcja@kulturaibiznes.pl), w księgarni im. B. Prusa w Warszawie, w d. księgarni Ossolineum w Łodzi (ul. Piotrkowska 181), w księgarni WAM w Rawie Mazowieckiej przy ul. Wyszyńskiego 5a.

W.S. Grochowalski

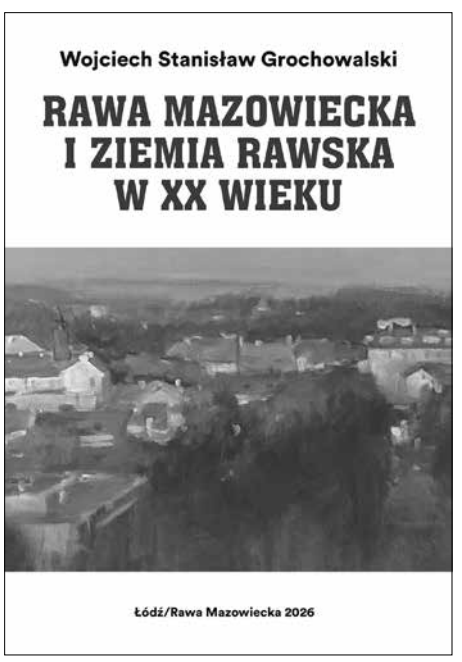

ROCZNICOWE FOTO

Zdjęcie przedstawia słynnego tancerza i choreografa **Serge'a Lifara**, tańczącego partię zbójnika Harnasia w góralskim balecie *Harnasie* Karola Szymanowskiego. Było to wystawienie w Paryżu 27 kwietnia 1936 roku (90 lat temu!) w operze paryskiej – Opera Garnier (Théâtre National de l'Opera). Prapremiera baletu miała miejsce w Pradze rok wcześniej. Paryska premiera odniosła wielki sukces, także z powodu zajęcia się choreografią przez słynnego Serge'a Lifara, a scenografię i kostiumy projektowała Polka Irena Lorentowicz.

Muzycznie *Harnasie* kompozytor opracował na jeden głos (tenor), chór i orkiestrę, jest to balet w jednym akcie, w trzech obrazach, a bohaterowie to: Dziewczyna, Pasterz, Zbójnik (Harnaś). Dziewczynę porywają zbójnicy, ta zakochuje się w harnasiu, czyli przywódcy zbójów itd., itd.

Harnasie to dzieło inspirowane folklorem góralskim, zawarte są w jego partyturze znane każdemu Polakowi pieśni m.in.: *Hej, idem w las*, *W murowanej piwnicy*, *Chmiel*. Pamiętamy je (starsi Czytelnicy) – ze szkoły, śpiewaliśmy te pieśni na lekcjach muzyki. Stara dobra polska szkoła…

Zdjęcie (sygnowane białym tuszem w dolnym prawym rogu) pochodzi z Narodowego Archiwum Cyfrowego, wykonał go Boris Lipnitzki, znany paryski fotografik, zrobił kilka ujęć tej sceny. *Red.* ■

Ireneusz Kowalewski (1955–2025)

Rok temu, 11 lutego 2025 r. pożegnaliśmy zmarłego po ciężkiej chorobie nowotworowej Ireneusza Kowalewskiego, menedżera kultury, producenta muzycznego, fonograficznego. Był menedżerem zespołów Kasa Chorych, Oddział Zamknięty i in., współtworzył i prowadził festiwale „Rockowisko" w Łodzi czy Festiwal Muzyków Rockowych w Jarocinie. Ale najbardziej znany był z organizacji właściwie autorskiego festiwalu pod nazwą Grand Prix Jazz Melomani, który utworzył w Łodzi w 1992 r. Choć główna impreza muzyczna – koncert galowy z wręczanymi muzykom jazzowym nagrodami muzycznymi w kilku kategoriach, odbywała się jednego dnia w Teatrze Wielkim w Łodzi, to jednak przez cały rok trwały spotkania, plebiscyty, głosowania, audycje radiowe (czytaj wspomnienie obok o red. Janie Targowskim); dbał, by było głośno o jego przedsięwzięciu, szukał na nie pieniędzy.

Na Irka (byliśmy po imieniu) mówiliśmy po prostu Kowal. Nie było właściwie ważnego wydarzenia muzycznego i kulturalnego w ogóle, w którym by nie uczestniczył, na które by nie zajrzał nawet na chwilę. Koncerty galowe swojego festiwalu, wręczanie nagród etc. prowadził na scenie sam. Witał więc gości, zapowiadał wielkich artystów z kraju i ze świata, dowcipkował (czasami rubasznie), dziękował, honorował oraz nagradzał sponsorów. W gronie tych ostatnich stałymi od lat i wiernymi byli Jerzy Czubak i firma Amcor Sp. z o.o. Wydarzenie to nazywał „Oscarami Jazzowymi", także „Europejskimi Oscarami Jazzowymi", ale kilka lat temu zmienił nazwę, filmowe amerykańskie Oscary widać upomniały się o nią, co też świadczy o dużym zasięgu łódzkiej imprezy. Powiedział wtedy na scenie, że musi zmienić nazwę, bo te duże Oscary upomniały się o nią i grożą konsekwencjami – ale na szczęście nie wszyscy z Łodzi wyjechali przed laty… Wywołały te słowa duży aplauz.

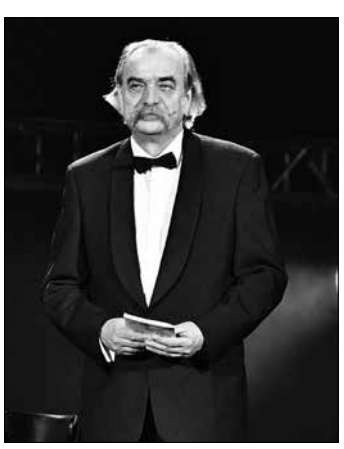

„Oscary Jazzowe" formalnie były organizowane przez Stowarzyszenie Jazzowe Melomani, które zakładał w Łodzi w 1989 r.; pracowało z nim stale kilka osób.

Odznaczono Go m.in. Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis", Odznaką „Za Zasługi dla Miasta Łodzi". R.I.P. *W.S. Grochowalski* ■

Janusz Romański (1943–2026)

W Stanach Zjednoczonych zmarł inż. dr Janusz Romański, naukowiec i wykładowca polski, działacz polonijny, aktywny w wielu nie tylko technicznych inicjatywach polskich i amerykańskich. Urodził się w Warszawie w 1943 r., ukończył Politechnikę Gdańską, w Stanach Zjednoczonych mieszkał od 1984 r. Pracował tam w swoim inżynierskim zawodzie, także jako wykładowca na Wydziale Inżynierii Materiałowej Drexel University w Filadelfii w latach 1981–1988, na Wydziale Inżynierii Mechanicznej Widener University w Chester, od 1991 r. pracował w słynnej firmie Piasecki Aircraft Corporation w Essington jako inżynier konstrukcyjny. Firma ta, założona przez konstruktora polskiego pochodzenia Franka Piaseckiego słynie z wielu nowatorskich rozwiązań w branży lotniczej, np. pionowych startów samolotów, śmigłowców o podwójnych wirnikach, platform latających, itd., itd. Był w zespole projektującym wojskowy śmigłowiec Speed Hawk X49-A.

Poznałem Pana Inżyniera w Nowym Jorku w Stowarzyszeniu Weteranów Armii Polskiej. Gdy spotkaliśmy się później w Instytucie Józefa Piłsudskiego (i tu był aktywny!), i gdy dowiedział się, że też jestem inżynierem, rawianinem (Jego żona jest ze Skierniewic), że organizuję w Nowym Jorku i Filadelfii wydarzenia artystyczne, koncerty, wystawy – wypiliśmy bruderszaft, byliśmy w częstym kontakcie, bywał na naszych wydarzeniach.

Był inżynierem z nutą humanizmu, wieloletnim szefem organizacji Polonia Technica, zrzeszającej polskich inżynierów i techników w Ameryce, należał też do amerykańskiego stowarzyszenia inżynierów. Jakież było moje zdziwienie, gdy kilka lat temu przybył z żoną do IJP na mój wykład o „Polskim patriotyzmie Artura Rubinsteina" i udekorował mnie medalem im. Tadeusza Kościuszki – nadawanym przez Polonia Technica. Medal jest wyborny, znakomicie wykonany wg projektu Andrzeja Pityńskiego.

Dr inż. Janusz Romański, Doylestown, 2023, arch. „Orzeł Biały"

W pożegnaniu Zmarłego, dyr. IJP dr Iwona Korga napisała m.in.: „Przez długie lata był oddanym i ofiarnym członkiem Instytutu Piłsudskiego i aktywnie uczestniczył w jego działalności. Przez wiele lat pełnił funkcję prezesa Uniwersytetu Ludowego w Filadelfii, gdzie organizował wydarzenia edukacyjne dla Polonii. Był honorowym prezesem organizacji Polonia Technica". R.I.P. *W.S. Grochowalski* ■

Jan Targowski (1951-2020)

Minęła szósta rocznica śmierci Jana Targowskiego: dziennikarza muzycznego związanego od 1977 r. z Radiem Łódź, krytyka muzycznego, prezentera radiowego, autora wielu audycji i programów autorskich; człowiek o niesamowitej wiedzy w zakresie muzyki poważnej, rozrywkowej, jazzu. Miłośnik i pasjonat Łodzi, zafascynowany rodzinnym miastem i jego kulturą.

Urodził się w Łodzi, tu ukończył Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną (ob. Akademia Muzyczna), prowadził programy kulturalne, audycje muzyczne i literackie na antenie Radia Łódź, Polskiego Radia pr. I i pr. III. Do sztandarowych audycji należały: „Młodzi kompozytorzy, nowa muzyka", „Od Bacha do Góreckiego", „Muzyczna Jedynka", „Jazz przed północą", „W tonacji sepii", „Historia rock and rolla", „Wieczór melomana", „Kawa ze śmietanką". Audycję „Jazz przed północą" przez wiele lat prowadzili z nim zapraszani do studia Maciej Jaworski i Michał Padkowski. Pisał także artykuły do popularnego czasopisma branżowego „Jazz Forum", pracował jako pedagog w Akademii Muzycznej, zasiadał w jury wielu konkursów i festiwali, prowadził koncerty i duże wydarzenia artystyczne, stale związany z imprezą nazwaną ongiś „Oscary Grand Prix Jazz Melomani" organizowaną w Łodzi przez Stowarzyszenie Jazzowe Melomani. Został nagrodzony Jazzowym Oscarem – Grand Prix Jazz Melomani w 1992 r. dla Krytyka Roku, nagroda dla Niego i Radia Łódź, natomiast po kilku latach ww. stowarzyszenie nagrodziło Go statuetką najlepszego Krytyka Dziennikarza Roku 2001, wręczoną w 2002 r. (vide foto). Ireneusz Kowalewski *spiritus movens* „oskarów jazzowych" (żegnany obok) mówił mi, że nie wyobraża sobie rozwoju tej muzycznej imprezy, organizacji tych gali muzycznych bez ogromnej pomocy i zaangażowania promocyjnego, jakie miał ze strony śp. Jana Targowskiego.

Był to bardzo kulturalny dziennikarz, erudyta, z wielką kulturą osobistą, prezenter o pięknym radiowym głosie, zawsze pogodny, z poczuciem humoru. Miałem przyjemność wiele razy być Jego gościem w programach Radia Łódź m.in. za dyrekcji nieodżałowanego Dariusza Szewczyka. Gdy p. Jan zapraszał gości do studia, czynił to z dużym wyprzedzeniem, dokładnie określał, czego oczekuje od gościa. Wiadomo było, że przed mikrofonami – zwykle na żywo – będzie spokój, komfort, merytorycznie wszystko przygotowane, opanowane, nie zrobi nic, co powodowałoby np. jakiś niepokój gościa oraz słuchaczy.

Od pierwszej konferencji prasowej związanej z działalnością fundacji Rubinsteina (2005) i z Rubinstein Piano Festiwalem (pierwszy w 2008) pan Jan był obecny na naszych wydarzeniach, żywo zainteresowany naszą działalnością. Gdy spotykaliśmy się w filharmonii czy operze – bywał z żoną Jolantą i córką Hanną (altowiolistka) – zawsze było miłe powitanie, chwila rozmowy.

Odznaczony został Srebrnym (2006) i Złotym Krzyżem Zasługi (pośmiertnie), Honorową Odznaką Miasta Łodzi (1989), Odznaką Honorową Polskiego Związku Chórów i Orkiestr. R.I.P. *W.S. Grochowalski* ■

Perły tańca

W niedzielę, 27 września 2026 roku na scenie Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, byliśmy uczestnikami dwóch pięknych wydarzeń: kolejnego wystawienia romantycznego baletu *Giselle* i uroczystości wręczenia nagrody „Perły tańca”. Polska Fundacja na rzecz Sztuki Tańca, której założycielką i prezeską od 2008 r. jest Bożena Kociołkowska, była primabalerina Teatru Wielkiego w Warszawie, uhonorowała kolejną statuetką „Perły tańca”, wybitną polską artystkę sztuki tańca Dominikę Krysztoforską, od 2022 r. wicedyrektora ds. kształcenia artystycznego w Ogólnokształcącej Szkole Baletowej im. Romana Turczynowicza w Warszawie.

Statuetka jest miniaturą rzeźby „W hołdzie polskim artystom baletu” zwanej „Warszawską Terpsychorą”, wykonanej przez rzeźbiarza Zbigniewa Stanucha. Rzeźbę posadowiono w prestiżowym miejscu Warszawy, obok Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, odsłonięto ją 8 października 2016 r., a wzniesiona została z inicjatywy pani prezes fundacji.

Statuetka „Perły tańca” przyznawana jest polskim artystom za całokształt dokonań artystycznych w dziedzinie sztuki tańca, w Polsce i poza jej granicami. W kraju po raz pierwszy przyznano ją w 2019 r. Wręczenie nagrody odbywa się w prestiżowych teatrach Polski oraz za granicą. W numerze 82/2026 „Kultury i Biznesu” opisaliśmy szeroko wręczenie statuetki tancerzowi Piotrowi Nardelliemu, uroczystość miała miejsce w Brukseli, poprzedzona była znakomitym występem zespołu baletu „Béjart Ballet Lausanne”, w którym nagrodzony artysta tańczył, a następnie związał się z zespołem jako pedagog.

Statuetkę otrzymało dotychczas 19 wybitnych artystów, którzy swoją pracą i wybitnymi osiągnięciami artystycznymi wpisali się w historię polskiego i światowego baletu.

Pani Bożena Kociołkowska w przysłanym do redakcji zaproszeniu na uroczystość i liście zwróciła uwagę, że spotkają się trzy pokolenia balerin, pierwszych solistek tańczących w tym pięknym przedstawieniu na scenie Teatru Wielkiego: ona w latach jej pracy w TW-ON, jej uczennica i laureatka wręczanej nagrody Dominika Krysztoforska oraz obecna pierwsza solistka, artystka młodego pokolenia dzisiejszego Polskiego Baletu Narodowego Jaeeun Jung.

Pani B. Kociołkowska napisała jeszcze, że pierwszym romantycznym baletem powstałym w 1832 r. była *Sylfida*, jednak to *Giselle*, której premiera odbyła się w Paryżu 28 czerwca 1841 r. osiągnęła szczyt tego gatunku tańca na całym świecie. To arcydzieło okresu Romantyzmu jest kwintesencją stylu w tańcu klasycznym; pierwsza połowa XIX w. to era baletu romantycznego. W tym okresie estetyka, technika tańca zmieniła się całkowicie, pojawiły się specjalne baletki zwane pointami, które pozwalały tańczyć kobietom na czubkach palców. Dawało to iluzję unoszenia się tancerki nad ziemią.

Od lewej strony: Bożena Kociołkowska (prezes zarządu Fundacji na rzecz Sztuki Tańca), Krzysztof Pastor (dyrektor Polskiego Baletu Narodowego), na pierwszym planie laureatka Nagrody „Perły Tańca” Dominika Krysztoforska. W głębi zespół baletowy TW-ON, w tym główni wykonawcy wystawionego baletu: Jaeeun Jung jako Giselle (Korea), Ryota Kitai jako Książę Albert Śląski (Japonia). Fot Piotr Witkowski, Warszawa 27 IX 2026

Giselle to balet fantastyczny w dwóch aktach wg pomysłu Théophile'a Gautiera, libretto – Jules-Henri Vernoy de Saint-Georges, muzyka – Adolphe-Charles Adam. Warszawska premiera miała miejsce 20 stycznia 1848 r. w choreografii Romana Turczynowicza – patrona Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej w Warszawie. Do obecnego warszawskiego wystawienia (premiera 25 XI 2022) choreografię opracowali Jean Coralli, Jules Perrot, Marius Petipa; realizacja Maina Gielgud; scenografia i kostiumy Andrzej Kreutz Majewski; orkiestrę prowadził Alexei Baklan. *Red.*

Wystawy, spotkania autorskie, koncerty, promocje książki

Rawa Mazowiecka i ziemia rawska w XX wieku

We wrześniu 2026 ukazała się książka pod powyższym tytułem, napisana przez Wojciecha Stanisława Grochowalskiego na zamówienie Samorządowego Stowarzyszenia Rozwoju Ziemi Rawskiej. Książka z wolna – wg sugestii Adama Mickiewicza: „Wszystko wolno, wszystko można, byle z wolna i ostrożna” – prezentowana jest w Rawie, Łodzi, Warszawie; za chwilę w kraju i dalej. Pierwszym krokiem było przekazanie głównego nakładu ww. Stowarzyszeniu; na czterech paletach! Następnie, 15 X w MDK w Rawie była wystawa m.in. książek wydanych przez autora i wydawcę, 30 X spotkanie autorskie, na kolejne wydarzenia będziemy zapraszać w listopadzie.

Na zdjęciach wystawa (wybranych) książek, czasopism i druków z lat 1990–2026, wystawa planszowo-gablotowa w galerii na I piętrze; wystawa potrwa do 31 X, wstęp wolny. *Fot. Anna Kraćkowska, pełny serwis foto na stronie mdkrawa.pl*

Janusz Janyst

Wspomnienia Konrada Tatarowskiego

Dotarła do nas opublikowana w 2023 roku przez krakowskie wydawnictwo Instytut Literatury książka Konrada Witolda Tatarowskiego *Bieg z przeszkodami – autoportret w pękającym zwierciadle*. Autor – łodzianin, dobrze znany w środowisku kulturalnym – jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu Łódzkiego w dziedzinie literaturoznawstwa i medioznawstwa. Ma w dorobku kilka książek i ponad sto artykułów w czasopismach i naukowych wydawnictwach zbiorowych, w prasie krajowej i emigracyjnej. Wydał tomik poetycki Światła w ciemności. Od połowy lat 70. działał w opozycji antykomunistycznej, był współzałożycielem „Solidarności" w Uniwersytecie Łódzkim. Po 13 grudnia 1981 internowany, następnie na emigracji. W latach 1984–1994 pracował jako dziennikarz rozgłośni „Wolna Europa". Do Polski powrócił w 1995 roku.

Prawie 500-stronicowy, literacki Autoportret..., czyli autobiografia Tatarowskiego, to jakże ciekawa opowieść o losach ważnego reprezentanta pokolenia „Solidarności", o jego twórczej drodze i zmaganiach z życiowymi przeciwnościami.

Książka ma 21 rozdziałów. Rozczyna się przywołaniem „lat szczenięcych" i rodzinnych klimatów, rzutem oka na okres szkolny, kiedy poświęcał się też sportowi (został mistrzemŁodzi w biegu na 100 i 200 metrów), a następnie spojrzeniem na czas studiów polonistycznych w UŁ. Tatarowski uczestniczył w strajku studenckim w 1968 roku, był współzałożycielem grupy literackiej „Olifant", pracę magisterską napisał nt. poezji Herberta, po czym został pracownikiem uczelni. Związał się z opozycją, a to skutkowało wymierzonymi w niego działaniami SB.

Autor wspomnień szczegółowo pisze o okresie internowania, o osadzeniu go w więzieniach w Łęczycy, Łowiczu i Kwidzynie, co było – jak się wyraził – swoistą przerwą w życiorysie i wiązało się z amputacją życia osobistego.

Więcej niż połowa książki dotyczy natomiast tego, co działo się później, a więc wyjazdu wraz z żoną Barbarą do USA, pobytu w Niemczech – w Monachium, oraz powrotu do Łodzi. W Radiu Wolna Europa redagował Tatarowski „Przegląd prasy podziemnej", „Widziane z kraju". Prowadził magazyny „Fakty – wydarzenia – opinie" i niekiedy „Panoramę dnia", odbywał wyprawy reporterskie do Paryża i Londynu, by przeprowadzić rozmowy z czołowymi postaciami powojennej emigracji. Zebrane materiały wykorzystywał w audycji „Polscy twórcy na emigracji". Przygotowywał słuchowiska. W tym momencie lektury zapewne niejeden dawny słuchacz RWE powróci myślami do „tamtych czasów", przypominając sobie nawet brzmienie głosu redaktora. Warto podkreślić, że książka odsłania zarazem różne sekrety rozgłośni, włącznie z wewnętrznymi konfliktami.

Ostatnia część autobiograficznej narracji poświęcona została ponownej, po latach, aktywności w Uniwersytecie Łódzkim (doktorat, habilitacja, związanie się z Zakładem Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej), współpracy pedagogicznej z Wyższą Szkołą Humanistyczno-Ekonomiczną, autorskiej z „Dziennikiem Łódzkim", „Tyglem Kultury", batalii o Radio Łódź.

Swego rodzaju dodatkiem jest kilka własnych tekstów literackich, z zainteresowaniem ogląda się także serwis zdjęciowy.

Tytuł *Bieg z przeszkodami…* wydaje się w pełni adekwatny, dzięki lekturze wniknąć bowiem można w bogaty i niełatwy życiorys „podmiotu" („naszego człowieka" w RWE), a przy okazji zdobyć istotną wiedzę z zakresu najnowszej historii naszego kraju. Po kilkaset pozycji obejmują notabene indeksy osobowy i geograficzny, książka ma więc pewne cechy naukowości (język, rzecz jasna, jest literacki), co w danym przypadku wydaje się całkowicie zrozumiałe. ■

Janusz Janyst

Na antypodach pustosłowia

W Łodzi działa kilkoro poetów niezależnych, niezrzeszonych, z których każdy może powiedzieć o sobie, że sam dla siebie jest sterem, żeglarzem i okrętem. Ale jest też całkiem sporo adeptów mowy wiązanej należących do funkcjonujących w kilku punktach miasta grup literackich. Wśród tych adeptów są osoby bardziej i mniej doświadczone, a więc mające nieraz dorobek w postaci wydanych tomików, bądź też autorzy początkujący, raczkujący na niełatwym do opanowania terenie. Wspólne spotkania w ramach owych grup służą wzajemnemu wspomaganiu się poprzez dyskusje warsztatowe, lektury i konfrontację efektów pracy.

Istnienie grup literackich, których członkowie i sympatycy mają okazję raz do roku uczestniczyć w szerszym gronie w ogólnopolskim Zlocie Poetów, organizowanym przez prezes Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich, Małgorzatę Skwarek-Gałęską, jest dla życia literackiego ważne. Specjalną rolę spełniają tu liderzy oraz animatorzy.

Na pewno większość miłośników poezji z Łodzi zna, przynajmniej ze słyszenia, Henryka Zasławskiego. To poeta a zarazem jeden z najbardziej aktywnych i doświadczonych animatorów. Przeczytać o nim można, że był słuchaczem Studium Kulturalno-Oświatowego, członkiem Koła Młodych ZLP (do momentu rozwiązania Związku w stanie wojennym), Klubu Literackiego Nauczycieli, współzałożycielem Stowarzyszenia im. K.K. Baczyńskiego. Pełnił funkcję przewodniczącego Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy. Działał w „Solidarności".

Jego wiersze i przekłady z języka słowackiego pojawiały się w „Radarze", „Tygodniku Kulturalnym", „Życiu Literackim", „Odrze", „Nowym Wyrazie", „Odgłosach", ponadto w almanachach i antologiach poetyckich – także w Czechach, Słowacji i Rosji. Opublikował tomiki: *Kiedy otwiera się w nas szczelina* (Wyd. Łódzkie 1988), *Stan wojenny poezji – zapis czasu* (Centauro 1996), *Odwrócony krajobraz* (Rondo 2012). Jest laureatem konkursów literackich – otrzymał m.in. I nagrodę w Łódzkiej Wiośnie Poetów 1988.

Henryk Zasławski w 1980 r. utworzył grupę literacką Centauro, której przewodzi do dziś. Jako lider tej grupy – co będąc jej sympatykiem piszący te słowa może stwierdzić – wykazuje niesłabnącą aktywność w realizacji rozmaitych form współpracy poetów, organizując sesje, wieczory autorskie w bibliotekach i domach kultury (podstawowym miejscem jest od lat Dom Kultury przy ul. Siedleckiej), przygotowując wydania tomików i almanachów. A najogólniej mówiąc – oddziałując na innych swoją pasją.

Zasławski wciąż pisze wiersze. W tym roku ukazał się, wydany przez Fundację im. Stanisława Pomian-Srzednickiego, jego tomik pt. *Długi cień Katynia oraz inne wiersze i opowieści*. Wymowny jest tytuł, jak i umieszczenie na okładce zdjęcia orła wieńczącego Pomnik Ofiar Komunizmu w Łodzi, autorstwa Wojciecha Gryniewicza. Poeta jasno definiuje swoją postawę ideową i w sposób niebudzący wątpliwości wyraża w twórczości poglądy. Czyni to z zachowaniem ekonomii środków i klarownością narracji, bez gadulstwa i słownej ekstrawagancji. W wierszach ze wspomnianego tomiku odwołuje się zarówno do niedawnej historii Polski – na przykład obrony Lwowa w 1918 r., Powstania Warszawskiego, Żołnierzy Wyklętych, jak i do współczesności (*kim jesteś człowieku/ że własnej ojczyzny nie szanujesz/ szalejem? Forpocztą piątej kolumny/ zdrajcą za judaszowe srebrniki?*).

Henryk Zasławski – fot. Janusz Janyst

Zasławski, stojąc na antypodach pustosłowia, jest obok Zdzisława Szczepaniaka czy zmarłego niedawno Mariana Miszalskiego, jednym z niewielu łódzkich poetów uprawiających poezję polityczną, stricte patriotyczną. A czyni to autor *Długiego cienia Katynia* nie bawiąc się w politykę na co dzień. ■

Wystawa zdjęć Ewy Rubinstein w Skierniewicach

Zapraszamy do Muzeum Historycznego Skierniewic Oddział „Dworek Konstancji Gładkowskiej" na wystawę zdjęć Ewy Rubinstein, wybitnej artystki, urodzonej w 1933 roku w Buenos Aires (podczas tournée ojca Artura Rubinsteina), zamieszkałej w Nowym Jorku. Wystawę organizują Muzeum Historyczne Skierniewic z Międzynarodową Fundacją Muzyczną im. Artura Rubinsteina w Łodzi, pod honorowym patronatem prezydenta miasta Skierniewice.

Wystawa nosi tytuł „Fotografie z lat 1968–1988", organizatorzy przygotowali 30 fotografii artystki, które będą prezentowane w okresie 5 XI – 31 XII 2026. Wernisaż wystawy – jak widać na plakacie obok – w czwartek 5 listopada 2026 roku o godz. 18; umili go półrecitalem fortepianowym uczennica Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia im. F. Chopina w Skierniewicach – Ewa Bagdasaryan.

Wykaz zdjęć na wystawę

1. Krzesło, Tuileries, Paryż 1968
2. Dziewczyna w pociągu, stacja Waterloo, Londyn 1969
3. Aparat, plac Św. Marka, Wenecja 1970
4. Dziewczynka i dwie kobiety, Hiszpania 1969
5. Dwie kobiety, Hiszpania 1971
6. Łóżko w lustrze, Rhode Island 1972
7. „Miss Sally" Brown, Karolina Południowa 1972
8. Kobieta w szpitalu, Kentucky 1972
9. Człowiek na schodach, Dubrownik 1973
10. Wejścia, Sabbioneta 1973
11. Maska, Arles 1975
12. Hilary, Maine 1977
13. Łóżko, Ancona, 1979
14. Lobby hotelowe, Ancona 1979
15. Znajomi, ul. Sporna, Łódź 1984
16. Kominiarze, Łódź 1984
17. Ogród Muzeum Sztuki w Łodzi 1984
18. Chełmno, 1984
19. Dom Chopina, fortepian, Żelazowa Wola 1984
20. Szpital Jonschera, Łódź 1984
21. Klasztorny mur, Studzianna 1984
22. Cela van Gogha, Arles 1984
23. Manekiny, Łódź 1984
24. Zwiędłe kwiaty, Warszawa 1984
25. Kuchnia Urszuli, Warszawa 1987
26. Łóżko i uchylone okienko, Fontvieille 1984
27. Park, Lyon, 1988
28. Św. Onufry, Soszyce k. Rawy, 1987
29. Fortepian, Filharmonia Łódzka im. A. Rubinsteina, 1987
30. Nieborów, ostatnia droga, 1987.

Łódzkie Targi Książki i Sztuki 2026 – „Połączenia”

20–22 listopada 2026; piątek i sobota: 10:00 – 19:00;
niedziela: 10:00 – 17:00
Dworzec Łódź Fabryczna
WSTĘP WOLNY dla odwiedzających

Wszystko zaczyna się w tym osobliwym punkcie, gdzie monotonny szum pociągów ustępuje szelestowi kartek papieru, a surowa przestrzeń dworca stopniowo mięknie pod naporem ludzkich głosów. Połączenia nie są prostymi liniami kreślonymi od linijki, to niewidzialne kapilary, którymi przepływa to, co najważniejsze – dreszcz ekscytacji, gdy otwierasz wymarzoną książkę, fala czystego piękna, gdy widzisz przedmiot, który przemawia do Twoich zmysłów. Cichy zamysł twórcy w połączeniu z Twoim własnym, wewnętrznym wszechświatem tworzy doświadczenie, które może zmienić obie strony. We wzajemnych połączeniach gubimy nieco własne kontury, by na nowo złożyć się w całość i dać się ponieść tętniącej życiem nieprzerwanej fali słów i obrazów.

Hasłem przewodnim Łódzkich Targów Książki i Sztuki 2026 na Dworcu Łódź Fabryczna są właśnie „Połączenia”. Dlaczego? Bo wydarzenie to unikalne przenikanie się świata literatury, sztuki oraz rzemiosła, które na trzy dni zamienia serce Łodzi w pulsujące energią centrum kultury. To święto czytelników i miłośników pięknych form, które łączy pokolenia. To tutaj słowo pisane spotyka się z dynamiką sztuki nowoczesnej. Bogaty program spotkań z autorami, paneli dyskusyjnych i warsztatów, inspirujące rozmowy i setki podpisanych książek łączy twórców i odbiorców, nie tylko z Łodzi, ale z całej Polski.

Inicjatywa rozwija się w dynamicznym tempie, zyskując ogólnopolskie uznanie branży literackiej i artystycznej. Ważnym etapem w historii Targów było przyznanie nagrody „Wydarzenie Roku 2024” przez prestiżowy Magazyn Literacki „Książki” oraz „Plastra Kultury” za Łódzkie Targi Książki 2025.

Skalę sukcesu obrazuje wzrost frekwencji: od 60.000 gości w 2024 roku, do rekordowych 100.000 odwiedzających w 2025. Wynik ten potwierdza, że Targi stały się kluczowym punktem na kulturalnej mapie Polski, łącząc środowiska artystyczne z ogólnokrajowym rynkiem książki, łącząc lokalne środowisko księgarsko-literackie z ogólnopolskim. Sukces potwierdza, że ta integracja jest odpowiedzią na realne potrzeby społeczne i kulturalne zarówno mieszkańców naszego miasta, jak i odwiedzających je turystów.

Tegoroczny program obejmuje ponad 80 spotkań autorskich, ponad 100 dyżurów literackich, liczne premiery książkowe oraz warsztaty artystyczne dla dzieci i młodzieży.

Spodziewamy się około 350 wystawców; z roku na rok ich grono zwiększa się.

Najmłodsi czytelnicy z pewnością ucieszą się ze spotkania z Grzegorzem Kasdepke. Wielbicieli mocnych wrażeń i gęstej atmosfery zapraszamy na spotkania z mistrzami polskiego kryminału oraz thrillera: Wojciechem Chmielarzam, Robertem Małeckim oraz Marcelem Mossem. O niezapomniane emocje fanów fantastyki zadbają: Aneta Jadowska oraz autor kultowego cyklu inkwizytorskiego Jacek Piekara. Natomiast miłośnicy języka ojczystego spotkają się z Anetą Korycińską znaną jako „Baba od polskiego”. Nie zabraknie, jak co roku, łódzkiego środowiska literacko-wydawniczego. Ciekawie zapowiada się spotkanie zorganizowane przez Wydawnictwo Officyna o dwóch wizjach portretów artysty – według Jamesa Joyce’a i Dylana Thomasa.

Strefa sztuki to oszałamiająca różnorodność stylów i technik. Malarstwo i grafikę reprezentują m.in.: Miejska Galeria Sztuki w Łodzi, Hakobo, Robert Przybysz, Piotr Wojtecki. Obrazy i obiekty ceramiczne tworzą: Agnieszka Filipek i Monika Kubiaczyk-Cygan. Świetny design zaprezentują: Hetman Jewelry, Klamotownia Pana Tusta, Up life, Betty and Josh.

Wolni Rysownicy, Dwukroopek, Agnieszka Osiecka, Weronika Tarka, Artyści Nienawiści, zACHwyty to niektórzy z licznie obecnych na Targach artystów zajmujących się kolażem, ilustracją i rysunkiem. Warto bliżej przyjrzeć się ceramice artystyczno-użytkowej tworzonej m.in. przez marki: Bigiel, Zgrabna Sztuka i Zbiory.

W dwóch strefach rzemiosła pojawi się ponad 80 unikatowych marek (m.in. moda, biżuteria, dodatki): Pociecha Jewelry, WELNIANA, Lululino, Karolina Zuzak Design, 101 BULDOGÓW, KABAK,

PATI –MANUFAKTURA i CollarMe.

Wstęp na Targi i spotkania jest bezpłatny. Na spotkania nie obowiązują zapisy. Część warsztatów jest płatna, część bezpłatna – szczegóły w programie.

Organizatorzy:

Fundacja Przędzalnia Sztuki, Fundacja „Zakręceni czytaniem”, Księgarnia Ossolineum, Kreatoora – Pracownia i Galeria Ewy Żochowskiej.

www.lodzkietargiksiazki.pl

Strefa książki, partnerzy:
Piotr Trybuchowski – tel. 519 195 433 piotr.trybuchowski@lodzkietargiksiazki.pl
Strefa sztuki, promocja:
Ewa Żochowska – tel. 512 262 090, ewa.zochowska@lodzkietargiksiazki.pl
Spotkania autorskie:
Monika Misiak – spotkania@lodzkietargiksiazki.pl
Warsztaty:
Małgorzata Drobnik – warsztaty@lodzkietargiksiazki.pl
Social media:
Julia Bronakowska – julia.bronakowska@lodzkietargiksiazki.pl

ORGANIZATORZY

ŁÓDZKIE TARGI KSIĄŻKI

TARGI SZTUKI

PRZĘDZALNIA SZTUKI

PRACOWNIA I GALERIA kreatoora

OSSOLINEUM KSIĘGARNIA

FUNDACJA zakręceni czytaniem

PATRONAT HONOROWY
MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA ŁÓDZKIEGO
Joanna Skrzydlewska

MECENAS KULTURY
tme.eu

PATRONAT HONOROWY
PREZYDENT MIASTA ŁODZI
HANNA ZDANOWSKA

PARTNERZY

książki magazyn literacki

POLSKA IZBA KSIĄŻKI

Biblioteka Analiz

ŁÓDZKA KOLEJ AGLOMERACYJNA

PKP POLSKIE LINIE KOLEJOWE S.A.

STOWARZYSZENIE TŁUMACZY LITERATURY

ŁÓDZKIE CENTRUM WYDARZEŃ

Miejska Galeria Sztuki w Łodzi

MSK:

KRAINA TALENTÓW

Akademickie Centrum Designu

ASP Łódź

PATRONAT MEDIALNY

MM MIEJ MIEJSCE

RYNEK ZABAWEK

EL RADIO

Anna Markiewicz

W stulecie śmierci Jana Kasprowicza

Pamięć, rocznicowe obchody i nadzieje na przyszłość

Jeśli spytamy przeciętnego Polaka o najwybitniejszego polskiego poetę, wielu bez wahania odpowie – Mickiewicz! Potem dołączą jeszcze Słowackiego, o trzecim z romantycznych wieszczów, Krasińskim mało kto pamięta. Szymborska, Miłosz… Gdyby ktoś „wyrwany do odpowiedzi" wytypował Gałczyńskiego, Norwida czy Staffa, będzie to niewątpliwie dowodem żywego zainteresowania poezją. Jest jednak twórca niezasłużenie pomijany w licznych rankingach i zestawieniach „tych najlepszych i najbardziej lubianych" – Jan Kasprowicz. Czy to nieszczęsne usytuowanie na osi czasu pomiędzy XIX a XX wiekiem? Czy może mało trafna reprezentacja jego dzieł w kanonie szkolnych lektur? Na szczęście, są miejsca, gdzie o Kasprowiczu pamięć jest wciąż żywa, a jego dziedzictwo pielęgnowane jest z podziwem i pełną troski miłością. Taką, z jaką przez dziesięciolecia po śmierci poety robiła to ostatnia z jego trzech żon, Maria z domu Bunin, zwana Marusią.

Dom tętniący życiem

Jednym z najważniejszych miejsc związanych z poetą jest Muzeum Jana Kasprowicza na Harendzie w Zakopanem – zlokalizowane w drewnianej willi, w której spędził on ostatnie trzy lata swojego życia, między 1923 a 1926 rokiem. Muzeum zaczęło funkcjonować jeszcze za życia Marusi, w 1950 roku. Wdowa została jego pierwszą kustoszką, a w 1964 roku powołała do życia Stowarzyszenie Przyjaciół Twórczości Jana Kasprowicza, które odtąd sprawuje opiekę nad budynkiem i licznymi pamiątkami, a także wciela w życie wizję domu otwartego dla poetów, pisarzy, muzyków, malarzy i wszystkich spragnionych żywego, pozbawionego patosu kontaktu ze sztuką. Kasprowicz, nawet będąc bardzo chory u schyłku życia, nie stronił od towarzyskich kontaktów, chętnie witał w domu gości. Nie mogła ich ominąć wizyta w bibliotece – miejscu, gdzie pracował i gromadził zbiory unikatowych wydań literatury polskiej i zagranicznej, które z dumą prezentował. Jednak ten „dom życia", jak po latach określała jego naturę Marusia, nie był zarezerwowany tylko dla artystów. Oczywiście, bywali tu profesorowie, wydawcy czy wybitni artyści: Staff, Szymanowski, Witkacy, Makuszyński i inni. Jednak obok nich zasiadali górale, a bywało, że i przygodni wędrowcy. Rozmowy o sztuce wplecione były w prostą codzienność i brak konwenansów. I, choć może trudno w to uwierzyć, klimat ten udało się ocalić do dziś. Dla wielu ludzi odwiedzających Zakopane, willa na Harendzie jest pierwszym miejscem, gdzie kierują swoje kroki, bo tam, niezależnie od pory roku i kaprysów pogody, zawsze świeci słońce. Goście mogą liczyć nie tylko na oprowadzanie przez jedną z charyzmatycznych i świetnie znających historię poety kustoszek, ale też nierzadko spotkanie z innymi ludźmi, z którymi natychmiast łączą ich niewidzialne nici duchowego i intelektualnego porozumienia. Stali bywalcy częstowani są herbatą na oplecionej chmielem i nasturcjami werandzie, czas zwalnia i nie trzeba już niczego więcej do szczęścia.

Wolność i troska

Jeśli ktoś byłby ciekaw, jak udało się zachować tak nieformalną atmosferę muzeum, trzeba przyznać uczciwie – od samego początku wdowa po Kasprowiczu zabiegała o utrzymanie niezależności placówki i tak jest do tej pory. Można by spytać, czy nie byłoby zasadne utworzenie tu np. kolejnego oddziału Muzeum Tatrzańskiego – cóż, to całkowicie zmieniłoby sposób funkcjonowania domu. Choć nie brakuje wsparcia z Ministerstwa Kultury i samorządu miasta, a muzeum współpracuje z innymi obiektami tego typu w Zakopanem, współorganizując różne wydarzenia, jedno jest niezmienne – podmiotem, który prowadzi działalność kulturalną i edukacyjną oraz dba o stan willi, pozostaje stowarzyszenie (SPTJK). Pociąga to za sobą szereg konsekwencji: z jednej strony swobodę działań, z drugiej nieustające ryzyko finansowego niedostatku. Stowarzyszenie posiada wprawdzie status Organizacji Pożytku Publicznego, co umożliwia chętnym wspieranie go przy okazji rozliczeń podatkowych, a pracownicy i współpracownicy muzeum spędzają długie godziny, przygotowując wnioski o granty – nigdy jednak nie można być pewnym efektów tych starań. W chude lata trzeba oszczędzać, na czym się da, a na pierwszy ogień idzie ogrzewanie – niezmiernie kosztowne w ponad stuletnim drewnianym domu, w miejscowości słynącej ze srogich, śnieżnych i długotrwałych zim. Konieczne są renowacje, które muszą być oczywiście dokonywane pod nadzorem konserwatorskim. Ponad stuletniego drewnianego budynku z płazów nie wolno po prostu obłożyć styropianem i otynkować. Dom przeszedł w ostatnich latach niejedną interwencję, od osuszania wnętrz specjalnymi urządzeniami, przez wymianę mszenia i gontów na dachu, po ocieplenie wybranych fragmentów, sprytnie ukryte pod zewnętrzną warstwą drewna. Najbardziej spektakularna zmiana dokonała się jednak w tym roku. Nie bez powodu właśnie teraz – 1 sierpnia minęło dokładnie 100 lat od śmierci poety. A taka rocznica nie mogła zostać skwitowana jednym wspomnieniowym wieczorem. Nie na Harendzie.

Jan Kasprowicz, Autokarykatura, 1910 r., ołówek, papier, format 20x15 cm, zbiory Muzeum Jana Kasprowicza na Harendzie

Rok Jana Kasprowicza

22 lipca 2026 roku Senat Rzeczypospolitej Polskiej podjął uchwałę oddającą „hołd wybitnemu poecie, dramatopisarzowi i tłumaczowi, jednemu z najwybitniejszych przedstawicieli literatury Młodej Polski, którego twórczość na trwałe wpisała się w kulturę narodową". Ponadto, rok 2026 został ustanowiony Rokiem Jana Kasprowicza przez Radę Miasta Zakopane, Sejmik Województwa Wielkopolskiego oraz przez Powiat Inowrocławski. To nie tylko symboliczny gest, ale też zobowiązanie, by rocznica została uczczona z odpowiednim rozmachem. Tak też się stało, tegorocznych obchodów pozazdrościłby poecie niejeden kolega po fachu – ale też trzeba przyznać, że zarówno Kasprowicz, jak i Marusia, która przeżyła męża o 42 lata, po prostu sobie na to zasłużyli.

Stare i nowe

Odbywające się w muzeum od 1969 roku cykliczne spotkania literackie, „Wieczory na Harendzie", nie miałyby swojej atmosfery, nie przyciągałyby tylu znakomitych literatów, ale i wdzięcznej publiczności, gdyby odbywały się w sterylnym wnętrzu muzealnej sali, wśród eksponatów szczelnie zamkniętych w gablotkach. Decyzja Marusi, by do oryginalnych wnętrz wpuścić ludzi, pozwolić im przebywać w otoczeniu autentycznych mebli, zegarów, batików, oryginalnych rysunków, malowanek na szkle i fotografii przyniosła efekty – tutaj każdy czuje się jak w domu, jakby przyszedł z wizytą do Gospodarzy. Nadal jednak nie to przesądza o powodzeniu koncepcji domu otwartego na literaturę i sztukę, gdzie historia jest nie tylko przedmiotem wspomnień, ale pisana jest wciąż od nowa. Prawdziwym sukcesem tego domu są ludzie. Kolejne generacje kustoszy, opiekunów i współpracowników. Ci, którzy są tam na co dzień i ci, którzy będąc w pobliżu, dają od siebie tyle, ile mogą. Czasem to drobna pomoc – ktoś ufunduje ciastka na spotkanie, inny pożyczy odśnieżarkę, dzieci z pobliskiej szkoły chętnie grabią liście i rozstawiają lampki w ogrodzie w Noc Muzeów. A czasem to gest bardzo duży – jak sfinansowanie remontu infrastruktury wokół domu i pobliskiego Mauzoleum Jana Kasprowicza, gdzie w osobnej krypcie leży także jego żona. Poeta nie od razu spoczął na Harendzie – początkowo pochowany był w grobowcu rodziny Dłuskich na Cmentarzu na Pęksowym Brzyzku. Jednak, dzięki staraniom Komitetu Uczczenia Pamięci Jana Kasprowicza, pozyskano potężne środki finansowe na budowę granitowego grobowca na parceli sąsiadującej z jego ostatnim domem, na tej samej skarpie nad potokiem. Budowę, według projektu Karola Stryjeńskiego, znakomitego architekta i miłośnika Podhala, rozpoczęto już w 1927 roku. Kamień pozyskiwano na zboczach Wołoszyna, w ukochanych przez poetę Tatrach. Powstała budowla, której bryła jest jednym z najwybitniejszych przykładów Art Déco, a wyjątkowym artystycznym detalem jest utrzymany także w tym stylu ołtarz w formie płaskorzeźby w górnej krypcie, wyrzeźbiony w drewnie limbowym przez Jana Szczepkowskiego. Okolicznościowa transformacja otoczenia mauzoleum rozpoczęła się już w 2025 roku – od remontu schodów prowadzących do krypt na obu poziomach. Późniejsze prace objęły odwodnienie budynku muzeum i stworzenie w ogrodzie granitowych ścieżek według pierwotnego projektu, co dało efekt połączenia obu obiektów: mauzoleum i muzeum. Przedtem grobowiec, ukryty za drzewami, wydawał się bardziej odległy, a obecne optyczne zbliżenie można odczytywać jako wręcz symboliczne. W dalszej kolejności wyremontowano całe ogrodzenie z kamienia i gontów wokół mauzoleum, wymieniono poręcze na schodach, wykonano parking i toaletę dla gości odwiedzających muzeum oraz przystosowano wejście do budynku dla osób z niepełnosprawnościami.

Solidny fundament

Remont otoczenia muzeum możliwy był dzięki wsparciu prywatnego inwestora. Pomyliłby się ten, kto założyłby jego zakopiańskie pochodzenie. Choć biznesmenów tutaj co niemiara, stan dawnej posiadłości wybitnego mieszkańca Podhala (Kasprowicz mieszkał przed zakupem domu na Harendzie także w Poroninie) poruszył serce biznesmena z Kujaw. To nieprzypadkowe powiązanie – poeta urodził się w Szymborzu, niewielkiej wsi, która dziś stanowi część Inowrocławia. Filantrop i społecznik, Marek Małecki, doktor honoris causa Politechniki Bydgoskiej, Prezes Grupy Kapitałowej SOLBET w ten sposób wyraził swoje uwielbienie dla literatury epoki Pozytywizmu i Młodej Polski. Trudno oprzeć się refleksji, że takiego biznesu nam w Polsce potrzeba. Bez zbytniego rozgłosu zbudowane zostały, dosłownie i w przenośni, solidne fundamenty pod dalszą działalność muzeum trzymającego pieczę nad materialną i duchową spuścizną jednego z najwybitniejszych Polaków. Żeby nie było zbyt przyziemnie, ten sam fundator wsparł niezwykłe wydawnictwo: *Jan Kasprowicz. Przynoszę wam kilka pieśni. Wybór poezji i prozy* w opracowaniu prof. Anny Podstawki oraz prof. Beaty Obsulewicz. Zdjęcia do publikacji wykonał Piotr Kyc, prezes zakopiańskiego stowarzyszenia i zapalony fotografik dokumentujący współczesną historię Zakopanego. Książka wydana w 2024 roku w nakładzie 1200 egzemplarzy, doczekała się dodruku 500 kolejnych. Luksusowa publikacja w twardej płóciennej oprawie z etui ma niemal 700 stron i jest piękną wizytówką muzeum.

Wokół literatury

Oprócz trwałej i potężnej pamiątki rocznicy, jaką niewątpliwie jest wykonany remont, pozostaną po niej także wspomnienia wydarzeń jednoczących wokół postaci Kasprowicza miłośników sztuki i literatury. To przede wszystkim wystawy oraz spotkania ze współczesnymi pisarzami, poetami i badaczami literatury. „Wieczorów na Harendzie" w tym roku zaplanowano aż dwanaście, a dotychczas ich gośćmi byli: Jacek Dehnel i Piotr Tarczyński, Renata Bożek, Jadwiga Malina, Adam Wiedemann i Bianka Rolando. Nie zapomniano także o samym Kasprowiczu, któremu poświęcono sierpniowe wydarzenie p.t. „Przyjaciel całego świata. Jan Kasprowicz we wspomnieniach". Wieczory od kilku lat są transmitowane online, można je oglądać na żywo oraz w formie retransmisji na profilu Muzeum Harenda na Facebooku, a także na You Tube na kanale Kultura Podhala. Jest to możliwość zajrzenia choćby na chwilę, okiem kamery, do rozświetlonego salonu. Tam, przy małym stoliku toczą się dyskusje wspierane pytaniami od publiczności. Jednak nie wie, co traci ten, kto nigdy nie uczestniczył w takim spotkaniu na miejscu – zwykle rozmowy przenoszą się do jadalni, a latem na werandę, gdzie przy szumie potoku, jeszcze długo wyłączeniu kamer, odbywają się „posiady" w gronie stałych bywalców i zupełnych nowicjuszy, czasem przybyłych z dalekich stron.

Wystawy – sztuka i wiedza

Wystawy to osobny rozdział rocznicowych obchodów. Zaplanowano ich w jubileuszowym roku w sumie aż sześć. Pierwsza, trwająca od 23 maja do 25 lipca „Poezja jest wszystkiem...” zgromadziła prace studentów i pedagogów Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Prezentowane były w Muzeum Jana Kasprowicza na Harendzie oraz usytuowanymi po sąsiedzku: XVIII-wiecznym kościółku p.w. św. Jana Apostoła i Ewangelisty i Domu Pracy Twórczej ASP. Wystawy o tym samym tytule zostały zorganizowane także w Miejskiej Galerii Sztuki im. hrabiego Władysława Zamoyskiego w Zakopanem oraz w Muzeum im. Jana Kasprowicza w Inowrocławiu. Na Krupówkach przez niemal całe lato, nieopodal słynnego oczka wodnego można było oglądać fotograficzną wystawę plenerową „Na Harendzie u Marii i Jana Kasprowiczów”, którą przygotowali Beata Jaśniak i Paweł Jaśniak. Najwspanialszą ekspozycję zaproponowało zwiedzającym muzeum na Harendzie. „Za wszystko jestem wdzięczny” to wystawa historyczno-literacko-biograficzna poświęcona Janowi Kasprowiczowi, przygotowana pod opieką kuratorską Małgorzaty Karpiel, Karola Jaworskiego i Wiktorii Doruli. Nie wiadomo, gdzie i w jakiej formie będzie ona jeszcze udostępniana, ale na pewno jej potencjał nie zostanie zmarnowany i warto wypatrywać jej kolejnej prezentacji. Opowieść o życiu poety, jego dorobku pisarskim i translatorskim, aż do ostatnich dni spędzonych na Harendzie, została ułożona z merytorycznych tekstów uzupełnionych ogromną liczbą zdjęć, rysunków (Kasprowicz miał niezwykły talent do portretów i karykatur), a także dokumentacją jego pracy tłumacza. Nawet ci, którzy dość dobrze znają twórczość i życiorys poety, dzięki wystawie mogli poznać jego mniej oczywiste oblicza – karykaturzysty, ternika, serdecznego człowieka otoczonego ludzką życzliwością.

Do końca października muzeum będzie gościło jeszcze jedną wystawę: „Na Harendzie – w domu i ogrodzie Jana Kasprowicza”. Wyjątkowo prace artystów Zakopiańskiego Okręgu Związku Artystów Plastyków zostaną zaprezentowane nie w Miejskiej Galerii Sztuki, a właśnie na Harendzie. Można spodziewać się wielu ciekawych dzieł sztuki, Zakopane nieodmiennie jest miejscem skupiającym doskonałych malarzy, rzeźbiarzy oraz artystów bardziej niszowych dyscyplin jak tkanina artystyczna. W ich gronie nie brakuje przyjaciół i bywalców Harendy, zarówno samo miejsce, jak i postać Kasprowicza są dla nich żywą, namacalną inspiracją.

Muzyka i teatr

Od lipca tego roku w repertuarze zakopiańskiego Teatru im. St. I. Witkiewicza gości nowy spektakl: *Kartki z Dziennika* na podstawie pamiętnika Marii Kasprowiczowej, w reżyserii Krzysztofa Najbora. Z pewnością jest to perspektywa warta poznania. Marusia miała swoje troski, refleksje, poglądy, była niezwykle wyrazistą postacią, obdarzoną wytrzymałością, determinacją i uważnością na drugiego człowieka.

1 sierpnia odbyły się centralne obchody rocznicy, które objęły m.in. mszę św., wystąpienia okolicznościowe, a także koncert plenerowy zespołu Polifonika i Magdy Lazar u stóp mauzoleum na Harendzie. Chyba nie były w stanie przyćmić ani uroczystości pogrzebowych poety, ani tym bardziej tych, które nastąpiły 7 lat później, gdy przenoszono trumnę do mauzoleum. W ostatnich dekadach życia Kasprowicz był wyjątkowo szanowaną postacią, co znalazło odzwierciedlenie w rozmachu, z jakim go żegnano. Człowiek, który przebył drogę od skromnej wiejskiej chaty do stanowiska rektora Uniwersytetu Lwowskiego, imponował, inspirował. Nade wszystko był jednak znawcą literatury i poetą. Uznawany przez współczesnych krytyków za jednego z najwybitniejszych twórców epoki modernizmu, był obsypywany nagrodami i zaszczytnymi wyróżnieniami.

Harenda, Zakopane, fot. Lubomir Jarosz

Jego świat

Wspominając postać Kasprowicza, jego barwne życie osobiste i karierę, nie można zapomnieć o tym, co najważniejsze – poezji. A ta, zaskakuje stylistyczną i tematyczną wszechstronnością. Kasprowicz to nie tylko ekspresjonistyczne hymny, które każdy przerabiał w szkole. Może najpiękniejszy jest ostatni tom: *Mój świat*. Wzruszająca jest świadomość, jak bardzo chciał się podzielić zachwytem nad urodą Podhala i jego mieszkańców – nie mając już siły pisać, robił tylko niemal nieczytelne notatki, a wiersze po prostu dyktował Marusi. To utwory pogodne, refleksyjne, w których pełne humoru i tkliwości spojrzenie na obyczajowość wiejskiej społeczności przeplata się z afirmacją surowej przyrody. Warto je zabrać ze sobą w sercu na wędrówki po górach, spacery po łąkach i pastwiskach, których wciąż wokół Zakopanego nie brakuje. Patrząc na nie oczami Kasprowicza, można zrozumieć, dlaczego tak bardzo kochał ten świat.

Anna Markiewicz

Janusz Janyst

Spotkania ze sztuką – U Milscha

„Strefa potrzeb kulturalnych” – takie hasło pojawiło się we wnętrzach restauracji U Milscha przy ulicy Łąkowej w Łodzi. Szef placówki, Michał Markowicz, stara się, by nie traciło ono na aktualności.

Nadmienić od razu warto, że restauracja mieści się w zabytkowej willi zbudowanej na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XIX wieku według projektu Edwarda Kreuzberga. Zabytkowy budynek ma cechy neorenesansowe: boniowana elewacja, opaski okienne, gzymsy. Stoi na terenie zakupionym pierwotnie przez niemieckiego przedsiębiorcę Teodora Milscha, który założył w tym miejscu browar i udostępnił jeden z pierwszych ogródków piwnych. Willa zmieniała później właścicieli, trafiając ostatecznie w posiadanie Cechu Rzeźników Łódzkich. Za czasów PRL mieściła się tam stołówka Zakładów Harnama, znajdowały się ponadto siedziba Cechu Rzemiosł Spożywczych i klub Karolek. Budowla została w dużym stopniu zniszczona. Dopiero w latach osiemdziesiątych rzeźnicy i wędliniarze odzyskali swój dom cechowy. Nie tak dawno odnowiona została częściowo elewacja.

Mająca wystrój retro restauracja U Milscha zajmuje niegdysiejszą salę balową na piętrze i całe południowe skrzydło tego architektonicznego obiektu. Dysponuje też ogrodem, który bardzo przydaje się latem. Nie zamierzamy tutaj reklamować oferty kulinarnej, zwracamy jedynie uwagę na aktywność w sferze kultury towarzyszącą podstawowej działalności placówki, co nie jest przecież powszechne.

Co zatem dzieje się szczególnego pod wspomnianym adresem? Co jakiś czas jest okazja do posłuchania recitalu gitarzysty klasycznego lub występu małego zespołu muzycznego, natomiast na estradzie ogrodowej pojawili się niedawno wirtuozi akordeonu, a następnie znakomita warszawska tancerka flamenco i solistka gry na kastanietach, Małgorzata Matuszewska, występująca wraz z pianistą Janem Oleszem (w ogródku, podobnie jak na piętrze, także jest dobrej jakości pianino). Reprezentowane są różne dziedziny artystyczne. Znajduje się miejsce dla sztuk wizualnych, bywa okazja do promocji książek. Każdego sezonu organizowany jest bal karnawałowy mający odpowiednią oprawę muzyczną, obejmującą np. przedwojenne piosenki. W tym roku odbywał się pod hasłem *Upiór w operze*. W przerwie zabawy wystąpiła – nawiązując bezpośrednio do musicalu Andrew Lloyda Webbera *Upiór w operze* – obdarzona interesującym mezzosopranem Marta Gabryelczak-Paprocka. Można również odnotować, że „codziennej” konsumpcji U Milscha nader często towarzyszą, grane dyskretnie przez pianistę, fortepianowe wersje dawnych i nowych przebojów.

Nie zapomina się o Melpomenie. W ostatnim okresie prezentowany był np. w wykonaniu krakowskiej aktorki Justyny Kowalskiej – monodram *Ja słodka*.

Każda z prezentacji artystycznych zasługiwałaby zapewne na osobne omówienie, wypunktowanie nie tylko plusów, ale i minusów, albowiem w sztuce, rzadko kiedy wszystko jest „naj”. Zatrzymajmy się wszakże na rzeczy w dziedzinie teatru najświeższej. Tuż przed wakacjami kilka spektakli dał U Milscha młody stażem i wiekiem członków trzyosobowy łódzki kabaret „Groszki i róże” (aktorzy Szantal Strzelińska, Adrian Pietruszewski i pianista Hubert Grygiel). Trzeba stwierdzić, że program pod względem tekstowym okazał się jedynie średnio zabawny, piosenki aktorka śpiewała bez odrobiny wibracji w głosie, doszło do wpadek przy próbach wykonania kilku przebojów wcześniej nienauczonych, jeśli chodzi o melodię i podkład akordowy (np. *Parostatku* z repertuaru Krawczyka). Czuło się brak nadzoru reżyserskiego, wykonawcy ratowali się wątpliwymi „rozmowami” z publicznością sugerując, że siłą przedstawienia ma być „improwizacyjność”. Jednakże okazała się ona słabością.

To dobrze, że „Milsch” uwzględnia w swej kulturalnej ofercie również młodzież artystyczną. Ale to, jak ona wypadnie, zależy już tylko od niej samej. ■

U Milscha – kabaret „Groszki i róże”. Fot. Janusz Janyst

17. Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego

W Poznaniu zakończył się 17. Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego, pierwszy koncert laureatów miał miejsce w piątek 23 października 2026 roku. Konkurs odbywał się od 8 października, zakwalifikowało się do niego (wystąpiło) 48 skrzypków z całego świata. Nie podejmując się na razie szerokiego omówienia, odnotowujemy to ważne wydarzenie, sygnalizując kilka tematów i może problemów…

Konkurs wzbudzał od początku wiele kontrowersji, a to z powodu dużego grona jurorów, niezaspokojonej ciekawości: kto tych jurorów ustanowił, wybierał, zatwierdzał. Wreszcie po pierwszym etapie i odrzucaniu przez jury kolejnych znakomitych skrzypków, zaczęły się dyskusje i pojawiały na różnych forach internetowych informacje, podejrzenia, sugestie – że Konkurs jest już rozstrzygnięty (!), że jurorzy „grają" na Ukraińca, Bohdana Lutsa, choć od lat mieszka i uczy się we Wiedniu i może być bardziej utożsamiany z Austrią, niż z Ukrainą.

Ale tylko ci bardziej obeznani z muzyką, z wiolinistyką, znający środowisko i mankamenty takich wydarzeń wiedzieli, że nie chodzi o politykę, o wojnę i nagrodzenie przedstawiciela uciemiężonego państwa czy narodu, ale że może chodzić o nagrodzenie szkoły rosyjskiej (nie ma wszak ukraińskiej szkoły skrzypcowej), pokazanie wyższości uczniów, studentów i profesorów z rosyjskiej szkoły, utrzymanie tego kursu, ich wpływu na kształcenie, nagradzanie na konkursach swoich (ich) uczniów i uczestników. Szkoła rosyjska to m.in. potężne brzmienie, technika wirtuozowska. Oprócz samego patrona Konkursu, Henryka Wieniawskiego, było wielu słynnych skrzypków po Konserwatorium Petersburskim jak Leopold Auer, Jasha Heifetz (uczeń Auera, grający i z Arturem Rubinsteinem), David Ojstrach i in., których następcy i muzyczni spadkobiercy mają ogromne wpływy w wiolinistyce – m.in. Boris Kuschnir, pedagog zwycięzcy Konkursu.

Wspomnijmy o polskiej szkole wiolinistyki, także szkole francusko-belgijskiej, szkołach chyba bardziej finezyjnych wykonawczo. Henryk Wieniawski też był przedstawicielem polskiej szkoły, jak i Karol Lipiński w XIX w., zaś w XX w. np. Irena Dubiska, Stefan Herman, Jadwiga Kaliszewska (1936–2012) – ta ostatnia określana, jako twórczymi polskiej i wręcz poznańskiej szkoły wiolinistyki, do której obecnie należą poznańscy profesorowie wioliniści m.in. Bartosz Bryła i Marcin Baranowski. Zresztą Obaj Panowie bywali w studiu konkursowym TVP Kultura i wypowiadali się krytycznie na temat ocen jurorów. Uczestniczka Konkursu znakomita Zofia Anna Olesik, studentka prof. Baranowskiego, jako jedyna z polskich skrzypków zakwalifikowała się do III etapu, ale też nie przeszła do dalszych.

Zastrzegając, że moje spostrzeżenia i znajomość muzyki skrzypcowej są amatorskie, ośmielam się jednak zauważyć i napisać, że jurorzy odrzucali w kolejnych etapach wielu znakomitych skrzypków, przepuszczając i zostawiając w finale dwie Azjatki i faworyzowanego Ukraińca – pisze zresztą o tym wiolonczelistka Anna Markiewicz na stronie obok.

Polska szkoła skrzypcowa przegrała, pokrzywdzono także świetnie przygotowanego Polaka Wojciecha Niedziółkę. Dziwne też, że nie transmitowano np. w TVP Kultura wszystkich etapów, jak w Konkursach Chopinowskich. Dlaczego? Czy abyśmy nie mogli słuchać, widzieć i oceniać sami – zwłaszcza ci, którzy się znają na muzyce – jak grają uczestnicy? Jak są oceniani; czy sprawiedliwie? A może, abyśmy nie usłyszeli i nie zobaczyli, jak grają i rosyjską muzykę, bo dopuszczono np. dwie sonaty Prokofiewa, w sumie piękna muzyka, a oficjalnie kompozytor ma być bojkotowany w Polsce… *W.S. Grochowalski*

SooBeen Lee (Korea), zdobywczyni III nagrody

Jinzhu Li (Chiny), zdobywczyni II nagrody

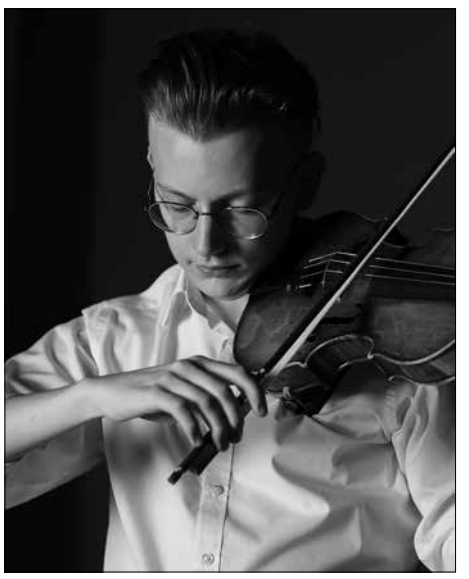

Bohdan Luts (Ukraina), zdobywca I nagrody

***

Poniżej merytoryczna pokonkursowa refleksja red. Adama Rozlacha, zamieszczona po ogłoszeniu wyników na jego facebooku, przytaczamy ją za zgodą autora.

Jeżdżę na poznańskie konkursy od 1972 (wycieczka szkolna), a tak naprawdę od 1986 roku, czyli od okrągłych 40 lat. Przeżywałem mocno zwycięstwa Jewgienija Buszkowa, radowały mnie wielce sukcesy Bartłomieja Nizioła i Piotra Pławnera, także 16-letniej Aleny Bajewej, Agaty Szymczewskiej, So-Young Yoon, Veriko Czumburidze i Hiny Maedy. Teraz do grona tych nie zawsze „moich" zwycięzców dołączył Bohdan Luts.

Spośród wszystkich triumfatorów, a i laureatów pozostałych nagród w historii Konkursu Wieniawskiego jedyną legendarną postacią został, jeszcze za życia, i to w najszerszej skali, jedynie Dawid Ojstrach. Najwięcej poznańskie Konkursy znaczyły – niewątpliwie i oczywiście – dla polskich artystów z Wandą Wiłkomirską, Kają Danczowską i Agatą Szymczewską, Krzysztofem Jakowiczem, Piotrem Janowskim czy wspomnianymi wyżej Niziołem i Pławnerem – na czele. Na drodze do światowej kariery zdaje się dziś być jedynie Bomsori (II nagroda sprzed 10 lat). O wielu innych pierwszych nagrodach w zdecydowanej większości – niestety – panuje cisza…

Czy tak będzie i po tej siedemnastej edycji? Oczywiście dziś nie możemy tego przewidzieć, ale zdaje się, że tegorocznemu zwycięzcy, ukraińskiemu skrzypkowi Bohdanowi Lutsowi, brakuje czegoś takiego co miała np. Bomsori, a w bieżącej edycji choćby Chinka Jinzhu Li (nie sięgając głębiej) – czyli jakiejś wyróżniającej się osobowości, indywidualności, o znaczącej kreatywności, wrażliwości, o ewidentnej wyrazistości, świeżości, pasji, nie mówiąc już o jakimś artystycznym duchu, artystycznym szlifie, jakiego moim zdaniem brakowało Lutsowi. Czy nie tego właśnie powinniśmy oczekiwać od zwycięzcy tak ważnego przecież konkursu o międzynarodowej renomie?

Przyznam szczerze, że podczas czterech pierwszych etapów nie miałem jakiegoś jednego, konkretnego faworyta, na którego mógłbym wszystko postawić, który mnie najbardziej fascynował spośród wszystkich. Słuchałem wszystkich uczestników, w każdym etapie, w każdym utworze i byłem pod wielkim wrażeniem bardzo wysokiego, mniej więcej też bardzo wyrównanego poziomu wykonawczego, i to w absolutnej większości prezentacji. Trudno się więc dziwić, że po drodze mogło odpaść (i najpewniej odpadło) wiele znakomitości, które w dalszych etapach mogły zaprezentować się jeszcze lepiej (choć oczywiście bez gwarancji) od tych, na których postawili w końcu Jurorzy. Jednak takie rzeczy ZAWSZE dzieją się na konkursach i szkoda zdrowia na roztrząsanie tego problemu choć warto przywołać tu tak wyraziste postaci tegorocznego Konkursu jak panowie Teofil Milenkovic, Elias David Moncado, Vikram Francesco Sedona czy panie Annais Feller, Anna Im, Charlotte Thiele i Maya Wichert, a może – nade wszystko – pięknie i wspaniale grającą Polkę – Zofię Annę Olesik. Bardzo nam jej brakowało w kolejnych etapach…

Uważam z całą moją pewnością, że do samego finału stawka była bardzo wyrównana i wszystko, każde rozstrzygnięcie mogło być możliwe. Jednak sam finał wykreował – nie tylko dla mnie – na tyle znaczącą różnicę, która spowodowała ogromne wręcz kontrowersje i wątpliwości co do ostatecznego werdyktu. Otóż dwie finalistki Koreanka SooBeen Lee i Chinka Jinzhu Li wybrały sobie ten o niebo trudniejszy od „de-mola" – *I Koncert skrzypcowy fis-moll* op. 14 Henryka Wieniawskiego i zagrały go o dwa nieba pewniej, ciekawiej, lepiej, a w przypadku Jinzhu Li wręcz błyszcząco i zjawiskowo. Bohdan Luts zaś w *II Koncercie skrzypcowym d-moll* op. 22 wypadł – już na tym choćby tylko tle – dość blado, choć grał z wielką ambicją i skutecznie (nikt nigdy, tak jak Erikowi Lu, nie odbierze i jemu już dziś wysokich umiejętności), wykonując to dzieło po raz pierwszy w życiu, czego jemu nie udało się ukryć (Chince, i owszem). Stąd kontrowersje i odczucie niesprawiedliwości i – dla mnie, wiem, że dla wielu – wielki żal, że Konkursu nie wygrała 19-letnia Chinka, która olśniewała nie tylko mistrzowską precyzją, ale i porażającym brzmieniem, niosącym się bardzo wysoko, jej – wypożyczonego pewnie tylko na Konkurs – Stradivariusa, i o wiele wyrazistszą osobowością.

Nic to – jak mawiał w takich razach red. Józef Kański, karawana jedzie dalej.

Gratuluję wszystkim sześciorgu laureatom, ze zwycięzcą, 21-letnim Bohdanem Lutsem na czele, niech udowodni nam w następnych latach, że na to zwycięstwo zasłużył, a Chince Jinzhu Li życzę przynajmniej takiego startu do kariery, jaki stał się udziałem tej tak wiosennej wtedy, a i dziś, grającej na całym świecie i nagrywającej dla wiodącej firmy płytowej – Bomsori Kim, która też zdobyła w Poznaniu II nagrodę!

*

I niechaj jeszcze gratulacje popłyną do przewodniczącego Jury Bartłomieja Nizioła i zapewne wspierającej go w tym jurorki i zarazem Pani Prezes Towarzystwa Muzycznego im. Henryka Wieniawskiego (organizatora Konkursu) – Agaty Szymczewskiej, za wyeksponowanie muzyki Patrona Konkursu, a i w ogóle muzyki polskiej! Nade wszystko zaś, za pójście w kierunku wszystkich najważniejszych konkursów wykonawczych w świecie, aby kandydaci w znaczącym stopniu sami mogli tworzyć sobie program konkursowych występów, w którym czują się najlepiej i najpewniej.

Gratuluję też absolutnie „bezwypadkowej" i znakomitej organizacji Konkursu – co było dziełem dyrektorki Konkursu (już po raz drugi) Karoliny Kaźmierczak, zarządzającej wspomnianym poznańskim Towarzystwem Wieniawskiego i nielicznych, dyskretnie, a zawsze skutecznie pomagających Szefowej – jej pracowników. Dziękuję też za miłą i zawsze bezproblemową współpracę z Martyną Nicińską, szefową Biura Prasowego Konkursu.

Wysokie były nagrody pieniężne, fantastyczny był pomysł z pierwszą nagrodą w postaci pewnie bezcennego użyczenia na dwa lata „Stradivarusa" – zwycięzcy Konkursu. I za to niech stąd popłyną specjalne podziękowania!

Może – na koniec – warto zaapelować do resortu Kultury, by w Jury kolejnego Konkursu znalazły się choć dwie, może trzy postaci (jury wcale nie musi być tak liczne), które są znanymi w świecie autorytetami w dziedzinie wykonawstwa muzyki skrzypcowej, bo choć noty z osiągnięciami jurorów były wielostronicowe i niekończące się, to poza Akiko Suwanai, nie znałem – poza Polakami – ani jednej osoby. Nieodżałowanej pamięci red. Jan Weber zwykł mawiać w takich razach – nieznanych mi wyłącznie z mojej winy…

Adam Rozlach
Polskie Radio 1 i TVP Kultura

Kilka pytań o konkurs

Od zakończenia tegorocznego Konkursu Wieniawskiego minęło już trochę czasu, poznaliśmy odpowiedź na najważniejsze pytanie: „Kto wygrał?”. Jednak kilka kwestii nadal domaga się wyjaśnienia.

W oczekiwaniu na ujawnienie pełnej punktacji jurorów, trudno oprzeć się refleksji na temat składu osobowego jury. Kto odpowiadał za ich dobór, kto powierzył ich uszom i długopisom kariery młodych skrzypków i, co najważniejsze, czy był świadom konsekwencji tego wyboru? Na naszych oczach dokonywała się bowiem „rzeź niewiniątek” – brutalna eliminacja najlepszych uczestników, wprawiająca w osłupienie muzyków wszelkiej specjalności i pedagogów. Czy to możliwe, że wszyscy doznali zbiorowego zamroczenia i przestali odróżniać grę piękną i ciekawą – od przeciętnej lub wręcz niedopracowanej?

Od trzeciego etapu nie miałam wątpliwości, kto będzie tegorocznym zwycięzcą. Zbyt wiele kropek połączyło się w całość. Obecność mamy jednego z jurorów w roli pianistki towarzyszącej zwycięzcy, wieści o wpływowym, choć nieobecnym tym razem w sędziowskim składzie, profesorze z Austrii… Każdy kto zna specyfikę konkursów, wzruszy ramionami – co z tego? Konkursy są „fabryką pedagogów laureatów”. I oni sami, i zatrudniające ich uczelnie mają z tego tytułu dodatkowe profity i prestiż. I może nie byłoby w tym nic gorszącego, gdyby nie pewien drobiazg – laureat musi spełniać pokładane w nim nadzieje. Jednak zwycięzca w pierwszym etapie zaprezentował się nieciekawie, jego drżące *vibrato* i chaotyczny *Polonez* raczej nie skruszyły niczyjego serca – a przyznam, że i ja na jego występ czekałam z dużą nadzieją. Przeszedł dalej – odpadli za to bardzo pewnie grający Jonathan Okseniuk z USA i Bartosz Skibiński. W kolejnych etapach głowę na pieńku położyli: arcymuzykalny Wojciech Niedziółka, charyzmatyczna Sara Dragan, kipiący energią i diaboliczną wirtuozerią w sonacie Ysaÿe’a Elias David Moncado (zwycięzca Grand Prix Konkursu Lipińskiego, ceniony przez Anne-Sophie Mutter), po drugim etapie odpadł też wykonawca najlepszego recitalu, Teofil Milenkovic, po trzecim – oboje dysponujący przepięknym dźwiękiem i nienaganną techniką: Vikram Francesco Sedona i Maya Wichert. A także Zofia Anna Olesik, która *Concertino* Wajnberga zagrała cudownie, z pełnym zrozumieniem ducha tej muzyki.

Zaczęło się robić dziwnie. Niektórzy kupowali patyczki i spraye do uszu przekonani, że przecież to oni, nie jury, muszą się mylić. Inni – ze spokojną rezygnacją oczekiwali na werdykt. Jeśli coś niepokoi, to nadgorliwość, z jaką niektórzy komentatorzy starali się za wszelką cenę racjonalnie uzasadnić kuriozalne decyzje jury. Padło wiele ciepłych słów, chyba zbyt wiele, by uwierzyć w ich szczerość. O ile mogę wybaczyć osobom, które po prostu zaczęły słuchanie konkursu od półfinału lub finału, nie bardzo rozumiem tych, którzy musieli przecież mieć w pamięci występy odrzuconych. Z zażenowaniem przysłuchiwałam się rozważaniom o zbyt cienkich paluszkach chińskiej skrzypaczki, które sprawiają, że jej wibracja jest mało mięsista – czy naprawdę międzynarodowa publiczność będzie szukała usprawiedliwień dla tego, co słyszy? Na konkursie wystąpiło wystarczająco wielu skrzypków posiadających nie tylko wrażliwość i pasję, ale też fizyczne warunki przekładające się na swobodę gry – takie, jakie miewali zwykle laureaci poprzednich edycji. Mówi się „na bezrybiu i rak ryba”, ale było przecież mnóstwo skrzypków zdolnych od jutra zachwycać na estradach całego świata. Jednak to nie oni będą „twarzami konkursu” w następnych sezonach.

Mam jeszcze jedno pytanie – czy dzięki zwycięstwu młodego Ukraińca znów oficjalnie wolno nam doceniać spuściznę radzieckiej szkoły skrzypcowej, którą reprezentuje? Zwycięzca głośno mówi o potrzebie ocalenia tego dziedzictwa, jednocześnie wyrażając nadzieję na zakończenie wojny zwycięstwem swojego kraju. Osobiście dostrzegam tu brak spójności przekazu. Od kilku lat mamy w mediach zakaz propagowania kultury rosyjskiej. Niech więc ktoś wytłumaczy melomanom, co tu się właściwie stało.

Anna Markiewicz

Niedokończony pomnik Adama Mickiewicza

Jesienią br. ukazała się niewielka, ale jakże ciekawa i ważna książka Leny Kuran pt. *Od Wilna do Radziejowic. Wędrujący pomnik*. Jest to opowieść o niezrealizowanym przedwojennym projekcie ustawienia pomnika Adama Mickiewicza w jego (i naszym) mieście Wilnie. Sprawa ma także mazowiecki wątek, finał można rzec, bo jedna z płaskorzeźbionych płyt odkutych w wołyńskim różowym granicie, znalazła się w 1995 r. w Radziejowicach i jest tam eksponowana do dziś.

Pierwszy wileński pomysł na pomnik upadł jeszcze w kon. XIX w., drugi „pomnik” już powojenny Wojskowy Komitet Budowy Pomnika Adama Mickiewicza zlecił Zbigniewowi Pronaszce. Piszę „pomnik” w cudzysłowie, gdyż Pronaszko wykonał ogromną drewnianą makietę, ustawił ją w Wilnie (stała do 1939 r.), ale dalszych prac wyrzeźbienia właściwego pomnika nie dane mu było zrealizować. Ogłoszono więc w 1931 r. kolejny konkurs, jury przewodniczył Władysław Skoczylas, Komitetowi Budowy Pomnika przewodził gen. Lucjan Żeligowski, Sekcji Artystycznej przewodniczył prof. Ferdynand Ruszczyc, sekretarzem został Stanisław Lorentz. Konkurs miał formułę zamkniętą, wygrał go rzeźbiarz Michał Kuna (1895–1945). Artysta przedstawił Mickiewicza, jako proroka narodu, całopostaciową sylwetkę wieszcza umieścił na wysokim cokole o przekroju kwadratu, obłożonym dwunastoma płytami-płaskorzeźbami ze scenami z *Dziadów*. Płaskorzeźby miały być wykonane w marmurze i umieszczone w trzech warstwach (piętrach) na ścianach 17. metrowego cokołu, po cztery na każdym piętrze, każda płyta o wymiarach 230 x 190 cm. Zaprojektowany posąg (postać) Mickiewicza miał mieć wysokość 560 cm; miano go odlać w brązie w Warszawie.

Po ogłoszeniu wyników konkursu wywiązała się publiczna dyskusja, atakowano nie tylko osobę artysty, ale i jego zwycięski projekt. Niektórzy artyści, publicyści, dopuszczali się krytyki nie przebierając w słowach i różnych porównaniach. Mówiono, że pomnik nie oddaje wileńskiego ducha, że Mickiewicz wygląda jak Szymon Słupnik (to opinia K.I. Gałczyńskiego), że „wieszcz wygląda jak w prześcieradle kąpielowym z księgą, prawdopodobnie notesem podróżnym, gra rolę Żyda wiecznego tułacza”, wreszcie bezpodstawnie zarzucano Kunie, że skopiował paryski pomnik Mickiewicza dłuta Bourdelle’a. Po protestach, opiniach, wręcz sugestiach, że to projekt Xawerego Dunikowskiego powinien zostać nagrodzony i realizowany, w ponownym głosowaniu Komitet przegłosował 85:5 ponownie projekt Kuny. Artysta podpisał umowę i przystąpił do realizacji dzieła, do rzeźbienia scen na płytach granitowych dostarczonych z Wołynia. Trwające zaś publiczne dyskusje wywoływane m.in. przez wileńskie „Słowo”, które ogłosiło ankietę w sprawie pomnika – uciął na miejscu w Wilnie Ferdynand Ruszczyc. Powiedział:

– „Tłumy mogą decydować o wyborze <Miss Polski>, natomiast do opiniowania dzieł sztuki upoważnieni są tylko odpowiednio przygotowani jej znawcy”.

Pomnik miał stanąć w Wilnie na skwerze Orzeszkowej, przy ul. Mickiewicza, miał być widoczny z placu Katedralnego, jego odsłonięcie planowano na 1935 r. Prace jednak opóźniały się, nie przygotowano terenu-działki, pojawiły się problemy własnościowe itd., itd. Do 1939 r. rzeźbiarz wykonał w Warszawie i wysłał do Wilna sześć płyt, które przetrwały tam wojnę m.in. położone przez Niemców na alei na cmentarzu ewangelickim; siódmą odnaleziono po wojnie w Warszawie, o innych, jeśli zostały wykonane słuch zaginął. Tę „warszawską” płytę, od Muzeum Narodowego „przejął” do Radziejowic w 1995 r. dyr. Mrówczyński, wcześniej przekonując dyr. MNW Ferdynanda Ruszczyca (wnuka oraz imiennika wspomnianego prof. Ruszczyca z Wilna), oraz ministra kultury Kazimierza Dejmka do wydania zgody na takie przekazanie i przeniesienie rzeźby. Znajdowała się wówczas w Wilanowie w „krzakach” w parku, po nieistniejącej plenerowej Galerii Rzeźby Polskiej XIX i XX w. Płyta „ściągnięta” do parku w Radziejowicach – lekko wyszczerbiona z lewej strony – przedstawia scenę „Droga na cmentarz” z *Dziadów*. Została ustawiona na trawniku, przy alejce spacerowej, nad stawem nieopodal zameczku; w pobliżu na cokole stoi mosiężne popiersie Adama Mickiewicza.

Sześć wileńskich płyt umieszczono w 1996 r. poziomo na ziemi w Wilnie, jako część – a właściwie to obok – nowego pomnika Mickiewicza, autorstwa Gediminasa Jokūbonisa, odsłoniętego w 1984 r. Pomnik ten stoi przy u. Maironio – dawnej Św. Anny, przedstawia stojącego Mickiewicza wspartego na złamanej kolumnie; pomnik mierzy 450 cm wysokości.

Jerzy Waldorff i Krystian Zimerman na ławeczce w Radziejowicach, wokół muzycy Polish Festival Orchestra, Radziejowice, 11 VIII 1999. Fot. z arch. Jana Popisa

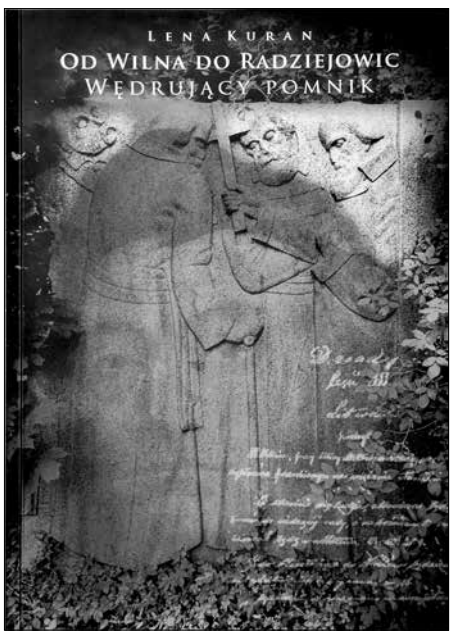

Gdy w sierpniu 1999 roku Krystian Zimerman jechał ze Śląska do Warszawy z Polish Festival Orchestra na pierwsze koncerty w kraju i następne na świecie, zatrzymali się najpierw w Babsku, gdzie udali się na grób Konstancji z Gładkowskich Grabowskiej, określanej młodzieńczym natchnieniem Chopina. Przed wjazdem do Warszawy, skierowali się na spotkanie z Jerzym Waldorffem właśnie do Radziejowic. Na załączonym zdjęciu widać, jak p. Waldorff „podejmuje” rozmową K. Zimermana i młodych muzyków w parku w Radziejowicach przy tablicy z niezrealizowanego pomnika Mickiewicza.

Książka *Od Wilna do Radziejowic. Wędrujący pomnik* ukazała się niejako w rocznicę sześćdziesięciolecia Domu Pracy Twórczej w Radziejowicach (wydawcy książki), zarządzanego od 1996 do 2019 r. przez Bogumiła Mrówczyńskiego, a wydanie zostało sfinansowane przez Geotermię Mazowiecką SA. Redakcja naukowa i wybór ilustracji Elżbieta Charazińska, wstęp Paweł Kos-Nowicki (ob. dyrektor DPT), słowo wstępne Marek Balcer (prezes zarządu Geotermii Mazowieckiej); objętość 88 stron, zawiera 40 kolorowych zdjęć, bibliografię, przypisy, rysunki, dokumenty; okładka miękka, format 17,5 x 24,7 cm. *W.S. Grochowalski*

Andrzej Rosiewicz – artysta estradowy

Andrzej Rosiewicz jest artystą estradowym, wokalistą, kompozytorem, gitarzystą, tancerzem, choreografem, także satyrykiem, felietonistą, wydawcą własnych płyt.

Dla łatwiejszego zrozumienia pojęć oraz istotnej ich różnicy wyjaśnijmy, czym różni się artysta sceniczny od estradowego, czym różni się scena od estrady:

scena – jest to część budynku w teatrze lub operze oddzielona od widowni, przeznaczona dla artystów takich jak: chóry, śpiewacy, muzycy, aktorzy; zwykle oddzielona od widowni kurtyną; przeznaczona zatem głównie do występów zawodowych śpiewaków operowych, baletu, przedstawień teatralnych etc.;

estrada – wg słownika języka polskiego – to „platforma bez kurtyny umieszczona na podwyższeniu w budynku lub na wolnym powietrzu, przeznaczona do występów artystycznych".

Tylko słowo widownia (tak miejsce do zgromadzenia słuchaczy, jak i sami słuchacze, melomani etc.) technicznie łączy scenę i estradę; widownia może być taka sama przed sceną i estradą, określa to samo dla obu miejsc prezentacji artystycznych. Oczywiście wielu artystów prezentuje się i może realizować artystycznie tak na scenie, jak i na estradzie. Nasz „bohater rozkładówki" jest zdecydowanie artystą estradowym.

Atrybutami Rosiewicza od lat niezmiennie są: duża mucha, kamizelka, błazeńska czapeczka – ta tradycyjna błazna królewskiego miała trzy rogi zakończone dzwoneczkami. Określa się przez to współczesnym Stańczykiem, który przez żarty, dowcipy i zabawę zwraca uwagę na ważne sprawy. Niby wesołek – ale zatroskany o losy Ojczyzny.

Na jesień 2026 roku zapowiedziano jego udział-występ – jako najstarszego dotychczas uczestnika – w popularnym programie TV Polsat „Taniec z gwiazdami" (Dancing with the Stars). Ale udział artysty odwołano, jak ogłoszono wg zaleceń lekarza… Artysta ma 82 lata.

Rodzina, szkoła, pierwsze sukcesy

Andrzej Wacław Rosiewicz urodził się 1 czerwca 1944 roku w Międzylesiu, obecnie w granicach Warszawy. Napisał piosenkę o Międzylesiu zaczynającą się słowami: *Choć nie mam pamięci do dat pamiętam / w Międzylesiu przyszedłem na świat, były święta* (…). Po wojnie zamieszkali przy ul. Smolnej, następnie na Mokotowie przy ul. Dąbrowskiego; drugie imię nadano mu po ojcu, miał brata. W jego biogramach podaje się aktywność artystyczną od 1953 roku, czyli gdy miał 9 lat i wymienia najczęściej profesje artystyczne: piosenkarz, tancerz, gitarzysta, kompozytor, choreograf. Właśnie w wieku 9 lat matka zapisała go do dziecięcego Zespołu Pieśni i Tańca „Dzieci Warszawy" przy ul. Konopnickiej 6, w którym tańczył przez 10 lat. Zdobywał tam laury i osiągnął nawet status tancerza klasy A; wieczorami uczęszczał do szkoły muzycznej na lekcje śpiewu (tenor), regularnie pobierał też nauki stepowania, pierwsze w klubie SGH „Jajko". W czasach szkolnych był harcerzem, uprawiał piłkę nożną i lekkoatletykę, zdobył nawet mistrzostwo Warszawy w skoku wzwyż (1,83 cm) i w skoku w dal – 6,65 m. Jest absolwentem słynnego Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Reytana w Warszawie, następnie ukończył Szkołę Główną Gospodarstwa Wiejskiego – jest magistrem inż. meliorantem. Po studiach pracował kilka lat na uczelni.

Był bywalcem i uczestnikiem życia artystycznego m.in. w klubach „Medyk" i „Stodoła", tańczył tam, spotykał m.in. Czesława Niemna (to autorska odmiana nazwiska-pseudonimu proponowana przez tego piosenkarza), z jego zespołem Akwarele. Z Niemnem spotkali się m.in. na estradzie na festiwalu w Sopocie w 1980 roku, gdy J. Gruza znów zaprosił Rosiewicza – ale teraz do kolejnego nietypowego występu, bo rok wcześniej, w 1979 r. Rosiewicz też występował w Sopocie. Wtedy, w 1979 r. przyjechała na festiwal bardzo słynna wówczas grupa Boney M., artyści wystąpili w pięknych strojach, dali znakomity występ, prawdziwy show, a śpiewały trzy piękne czarne solistki, chór, solista-tancerz, grał ich zespół muzyczny. Po roku Rosiewicz też zrobił show i zachwycił sopocką publiczność pojawieniem się… nad widownią amfiteatru, w powietrzu! Bo oto zjeżdżał powoli ku scenie na linie, jakby z nieba, i śpiewał; ludzie rozglądali się i szukali go, nie wiedzieli początkowo, skąd ten głos dochodzi? Po występie Rosiewicza, Niemen powiedział mu:

– No stary! Znokautowałeś nas wszystkich.

Moja znajoma tancerka zawodowa, primabalerina, powiedziała mi, że on ma ogromne umiejętności ruchowe; po sposobie poruszania się, koordynacji ruchów widać, że ma przygotowanie taneczne, oczywiście nie do baletu, na scenę – ale na estradę; że został przygotowany bardzo dobrze. Zachwycał ją też śpiewanymi piosenkami.

Rodzinę własną założył w 1977 roku, ożeniwszy się z panią Iwoną, jak mówi piękna kobieta z poczuciem humoru, z Krakowa. Mają trójkę dzieci: Jędrzeja, Irenę, Adama; córka jest absolwentką filozofii.

Do rodziny należy też osiem kotów w domu...

Życie estradowe

Od lat 70. ub. wieku artysta sukcesywnie zdobywał wielką popularność, tworzył wciąż nowe piosenki, nagrywał płyty, w PRL obecny był na festiwalach piosenki i jak wszyscy ówcześni polscy artyści estradowi, Rosiewicz śpiewał na: Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie, Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu, Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze. Występował także na festiwalu Jazz Jamboree, Festiwalu Piosenki Prawdziwej w Gdańsku – to już czasy „Solidarności", Gdańsk 1981 r. Jego wielka popularność w kraju, nie przełożyła się na karierę w skali światowej. Owszem wyjeżdżał na dłużej do Londynu, odwiedzał później Nowy Jork, Chicago, Florydę etc., ale występy tamtejsze były w klubach czy miejscach głównie polonijnych.

Fot. Czesław Czaplicki, Warszawa 2025

Oto kilka danych dotyczących jego kariery, przytaczanych głównie za jego stroną internetową:

– polskie zespoły, z którymi współpracował, w których śpiewał, tańczył: ww. zespół dziecięcy „Dzieci Warszawy", Pesymiści (od 1965), Old Timers (1967–1969), Asocjacja Hagaw (1969–1978);

– największe przeboje śpiewane przez A. Rosiewicza: *Czy czuje pani cha-chę*, *Zenek blues* (otrzymał za nią nagrodę na festiwalu w Opolu w 1976 r.), *Zakochany bałwan*, *Chłopcy radarowcy*, *Samba wanna blues*, *Najwięcej witaminy*, *Pierestrojka nadzieja*, *Wieje wiosna ze wschodu* (1987), *Książeczka wojskowa*, *Propaganda sukcesu*, *Pytasz mnie*. Piosenkę satyryczną *Wieje wiosna ze wschodu*, śpiewaną przez artystę na Wawelu w 1988 r. dla Michała Gorbaczowa i gen. W. Jaruzelskiego, artysta wykonał przystrojony w białą czapeczkę z czerwoną gwiazdą. No i piosenka była odbierana dwuznacznie; jednych bawiła, innych oburzała. Rok wcześniej zaśpiewał ją na festiwalu w Zielonej Górze, ponoć ku oburzeniu radzieckich oficerów i protestów jakiegoś sowieckiego generała.

W stołecznej Estradzie w PRL-u Rosiewicz utożsamiany był ponoć z artystami występującymi dla partyjnych, i miała być tam lista artystów, nie występujących dla partyjnych, a chodzi o rządzącą w Polsce po wojnie Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą czy Zjednoczone Stronnictwo Ludowe. Ale w PRL ci partyjni rządzili mediami, festiwalami itd. Ponadto artysta ten był niepokorny. Jest taka opowieść – nie mogłem zweryfikować czy prawdziwa. Otóż podczas koncertu w Moskwie ubrał się w strój chińskiego żołnierza i śpiewał znaną radziecką piosenkę *A ja idu, szagaju po Moskwie*, czyli w tłumaczeniu: *A ja sobie idę, maszeruję po Moskwie*. Miało to wywołać oburzenie widowni i organizatorów, a artysta ratował się ucieczką do polskiej ambasady.

Piękne jest wykonanie przez niego piosenki z czołówki serialu *Czterdziestolatek* w reż. Jerzego Gruzy (1975 r.); słowa Jan Tadeusz Stanisławski (także jak Rosiewicz związany z klubem „Stodoła"), muzyka Jerzy „Duduś" Matuszkiewicz. W „Stodole" dołączył w 1969 r. do zespołu Asocjacja Hagaw, z którym występował do 1978 roku. Na Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu zdobywali nagrody w 1972, 1975 i 1978 r., w 1980 otrzymał tam I nagrodę za piosenkę *Najwięcej witaminy*.

Po powstaniu „Solidarności" w Sierpniu 1980 r. w latach 1980 i 1981 stworzył kilka piosenek patriotycznych m.in.: *Propaganda sukcesu*, *Graj Cyganie*, *Piosenka o prawdzie*, *Chcemy prawdy*, *Książeczka wojskowa*, *Wincenty Kalemba* czyli *Pieśń o zachodnich bankierach*. Z politycznych piosenek już w XXI w. śpiewał często: *Miller wam da* (2001), *Jak Gwiazda w noc czarną – Solidarność*, ta ostatnia jako hołd dla współzałożycieli NSZZ „Solidarność" Andrzeja Gwiazdy i Anny Walentynowicz (2003). *Wystarczą cztery Ziobra i Polska będzie dobra* (2006). Pojawiał się i pojawia (śpiewa, opowiada, wspomina) w wielu prywatnych mediach, internetowych – także w katolickiej telewizji Trwam.

Wśród wielu wydanych jego płyt – wcześniej winylowych – są: wydana w Londynie *Cossack Songs of the Cosack. Andrzej and His Friends* (Fontana Records 1970), *Asocjacja Hagaw & Andrzej Rosewicz* (Polskie Nagrania, 1970, następną pod tym tytułem wydali w 1975 r.), *S.P.P.T. Chałturnik, Andrzej Rosiewicz* (Poljazz 1975), *UFO/Żniwo* (Pronit 1980, album koncertowy), *Dobry interes* (Wifon 1980, głównie folklor żydowski, nagrania z koncertów w Sali Kongresowej we wrześniu 1980 r.), *In Glenn Miller's World*, album z Big Warsa Band (Polskie Nagrania 1986), *AR. Andrzej Rosiewicz* (Arston 1987) a na niej m.in. piosenki: *Biały Bal*, *Pytasz mnie*, *Wieje wiosna ze wschodu*.

W 2012 r. wydał płytę-album *A gdy się naród obudzi (Oswajanie lemingów)* z satyrycznymi utworami politycznymi n.in. *Jeszcze Europa nie zginęła*, *Platforma ci wszystko wybaczy* i in. W ostatnich latach aranżerami jego piosenek są Andrzej Jagodziński i Marek Kędziorek, ten drugi także współwydawca kilkunastu płyt CD z piosenkami Rosiewicza, wydanych przez ARTUS-REGETON.

Artysta został odznaczony srebrnym Krzyżem Zasługi (1979), Orderem Odrodzenia Polski (krzyż kawalerski, 2000), srebrnym medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis" w 2015 r.

Andrzej Rosiewicz

Co właściwie Go tu trzyma?

Polska ma piękną historię, ogromną kulturę, ludzi wybitnych w wielu dziedzinach i w ostatnim tysiącleciu, sławią to więc artyści Polacy patrioci. Myślę, że Andrzej Rosiewicz jest autentycznym polskim patriotą, nie oszukuje i nie kryje uczuć w twórczości, a piosenkę o rosyjskiej pierestrojce traktuję, jako żartobliwą i literacką troskę o pozytywne zmiany u naszego sąsiada, gniecionego przez komunizm nie przez Rosjan przecież wymyślony i zaszczepiony tam.

W jednej z wypowiedzi artysta mówił (cytuję z pamięci), że gdy w PRL wracali samochodem do Polski z Niemiec, z jakichś występów bodaj z Asocjacją Hagaw – wyjeżdżali dwa razu w roku na występy do Niemiec Zachodnich, po przekroczeniu granicy i pojawieniu się polskich krajobrazów, pięknych lasów, pól i łąk, chłopów pracujących na tych polach, zawsze odczuwali niepowtarzalne uczucia… tego, co nazywamy miłością Ojczyzny. Bo Ojczyzna jest jak zdrowie, ten tylko ją ceni, kto ją straci. Nawet na chwilę.

Artysta koncertuje w całym świecie, w Europie, Stanach Zjednoczonych, Australii, przede wszystkim w polonijnych ośrodkach, zawsze wraca ze wzruszeniem do kraju. Szczyci się osobistym poznaniem takich wybitnych Polaków i patriotów jak gen. Władysław Anders (spotkali się w Londynie), czy Feliks Konarski „Ref-Ren", którego poznał w Chicago. W grudniu 1968 r. wyjechał do Anglii, zamieszkał w Londynie. Pracował na budowach, śpiewał i tańczył w polskim zespole tańca ludowego, występował w klubach i znanej restauracji żydowsko-rosyjskiej „Barszcz i Łzy", śpiewając tam m.in. rosyjskie romanse, evergreeny. Do kraju wrócił w 1969 r. Podobnie na krótką emigrację do Anglii udał się w 1984 r. W 1986 r. do Stanów Zjednoczonych wyjechali m.in. z Czesławem Niemnem, Marylą Rodowicz, Małgorzatą Ostrowską. Śpiewali z klubach polonijnych, Rosiewicz miał spotkania w Księgarni Polskiej na Brooklynie.

***

Piosenka z 1984 r., napisana w Londynie, która ściska za gardło, wzrusza ludzi to *Pytasz mnie*:

Pytasz mnie, co właściwie Cię tu trzyma?
Mówisz mi, że nad Polską szare mgły,
Pytasz mnie, czy rodzina, czy dziewczyna?
I cóż ja, i cóż ja odpowiem Ci.

Może to, ten szczególny kolor nieba,
Może to, tu przeżytych tyle lat,
Może to, ten pszeniczny zapach chleba,
Może to, pochylone strzechy chat.

Może to przeznaczenie, zapisane
w gwiazdach,
Może przed domem, ten wiosenny
zapach bzu,
Może bociany, co wracają tu do gniazda,
Coś co każe im, powracać tu.

Mówisz mi, że inaczej żyją ludzie,
Mówisz mi, że gdzieś ludzie żyją lżej.
Mówisz mi, krótki sierpień, długi grudzień,
Mówisz mi, długie noce, krótkie dnie.

Mówisz mi, słuchaj stary jedno życie,
Mówisz mi, spakuj rzeczy, wyjedź stąd.
Mówisz mi, wstań i spakuj się o świcie,
Czy to warto, tak pod górę, tak pod prąd.

Może to przeznaczenie, zapisane
w gwiazdach,
Może przed domem, ten wiosenny
zapach bzu.
Może bociany, co wracają tu do gniazda
Coś, co każe im powracać tu.

Może to zapomniana, dawno gdzieś
muzyka,
Może melodia, która w sercu cicho brzmi,
Może mazurki, może walce Fryderyka,
Może nadzieja doczekania lepszych dni.

Może to zapomniana dawno gdzieś
muzyka,
Może melodia, która w sercu cicho brzmi.
Może mazurki, może walce Fryderyka,
Może nadzieja dla Ojczyzny lepszych dni.

Wracając do tej pani jurorki – wspomnianej na stronie pierwszej – z telewizji, która w sumie obraziła talent i uczucia młodego Polaka Piotra Wolwowicza, gdy schlastała prezentację (w konkursie TV) tej pięknej patriotycznej piosenki A. Rosiewicza *Pytasz mnie*. Otóż Piotr pięknie „odwinął" się tej pani mówiąc, że dla niego Ojczyzna jest najważniejsza! BRAWO! Ciekawe, czy schlastałaby też piosenkę *Powrócisz tu* dopytywał później Rosiewicz. A mnie przypomina się w tym momencie piosenka Anny German z 1970 r., zaśpiewana na estradzie festiwalu w Opolu. Otóż A. German witana owacjami na stojąco zaśpiewała piosenkę *Być może*, do słów Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego. W tekście są m.in. słowa: „Być może gdzie indziej (…) lecz w sercu najdroższa, piosenka nad Wisłą i piasek Mazowsza".

Dla mnie najdroższy jest piasek Mazowsza Rawskiego… Ale co do całego Mazowsza, to A. Rosiewicz śpiewa: „Mazowsze jest najzdrowsze, Warszawa najpiękniejsza (…).

Proponuję dla jurorów np. w TVP w likwidacji inną piosenkę A. Rosiewicza, pewnie ta lepiej im podpasuje, z płyty „Dobry interes":

W Lubartowie na jarmarku, można wypić dobre piwo,

Nie ma mowy w nim o pianie, ale za to jakie tanie,

Ale za to jakie tanie!

A co do piwa… Ponieważ jesteśmy w okresie dyskusji po premierach nowych filmów zrealizowanych ponoć na podstawie powieści *Lalka* Bolesława Prusa, to w kwestii piwa przypomnę słowa tego wielkiego pisarza. Wypowiedzieli je przy stoliku koledzy Ignacego Rzeckiego – ci od kufelka, czyli Szprot i radca Węgrowicz, zachwalając cechy dobrego piwa:

– „Kolor starego miodu, piana jak śmietana, smak szesnastoletniej dziewczyny. (…) Przed takim piwem należałoby płukać usta…".

W 2014 r. ukazała się książka autobiograficzna, wywiad rzeka z Andrzejem Rosiewiczem przeprowadzony przez Michała Krajskiego, książka ma tytuł *Od niewoli do niewoli*.

Powiedzieli o Andrzeju Rosiewiczu

Jerzy Biernacki: Andrzej Rosiewicz. To cała epoka polskiej piosenki, ba, polskiej muzyki rozrywkowej i może nie tylko rozrywkowej. Pisałem o nim na tych łamach, upominając się o jego obecność w radiu i telewizji: „Zawsze był niepokorny i niezależny". Dziś dodałbym jeszcze: i przekorny, a poza tym: Jedyny taki. Rzeczywiście, drugiego takiego, choćby trochę podobnego do niego nie mamy i mieć nie będziemy. „Przez lata rozwinął swoją sztukę estradową nadzwyczajnie, (...) stworzył wiele arcydzieł muzycznych i satyrycznych, (...) jako autor tekstów, kompozytor i jako wykonawca, jak zawsze zadziwiający lekkością poruszeń, żywym talentem tanecznym, zręcznością i perfekcją estradową, a przy tym jedyny, który śpiewa i porusza się z maksymalną swobodą, naturalnością, wyrażając w pełni swoje poczucie wolności i radość życia i śpiewania" – pisałem dalej w artykule, umieszczonym później w mojej książce pt. *Wolimy Bohaterów* (Warszawa 2014 i 2019).

Panoramiczna piosenka, można powiedzieć – światowa, zarazem niepoprawna politycznie, ale cudownie dowcipna, ze słowami refrenu: Najwięcej witaminy mają polskie dziewczyny – przyniosła mu Grand Prix na festiwalu w Opolu. W ogóle – paradoksalnie – w okresie PRL-u był bardzo widoczny, słyszało się go w radiu i oglądało (z tą jego wielka złotą muchą) w telewizji, był jednym z nielicznych jasnych punktów w szarości real-socjalizmu (podobnie jak Starsi Panowie Dwaj), gdy śpiewał *Chłopców radarowców*, albo *Czterdzieści lat minęło jak jeden dzień* czy piosenkę lub raczej pieśń, zaczynającą się od słów *Pytasz mnie*, będącą przejawem najwyższego liryzmu patriotycznego, jeśli tak można powiedzieć.

A po 1989 roku – co się stało? W wolnej Polsce zniknął Rosiewicz z radia i telewizji. Stało się tak, gdy tylko ujawnił swój patriotyzm (w najczystszej postaci) i głębokie przywiązanie do wiary katolickiej. Na szczęście na wiele lat przytuliło go Radio Maryja i TV TRWAM, miał więc dla kogo kontynuować twórczość, ale, rzecz jasna, pogłębiło to zarazem jego zadziwiające osamotnienie. I właściwie tak jest do dziś. Rozwinął w tym czasie swoje wielkie zdolności satyryczne (liryk i satyryk, tak, tak!), napisał i wyśpiewał wiele nowych utworów, wciąż zachowując wysoką formę, także jako wykonawca, mimo poważnego wieku „Rekiny rekinom nie dadzą zginąć, złodzieje złodziejom z cudzego naleją!", itd...

To tylko fragmencik świetnej satyry na III RP.

Janusz Janyst: Czy Andrzej Rosiewicz urodził się na estradzie? Nie zostało to stwierdzone, ale podejrzenia są. W tym miejscu czuje się przecież jak w swoim żywiole, jego interpretacje piosenek – także własnych – budzą powszechne uznanie. Rosiewicz nie tylko śpiewa, gra też na gitarze oraz – co godne podkreślenia – tańczy. I jak tańczy! Strona ruchowa, mająca nierzadko podtekst humorystyczny, zawsze jest mocną stroną jego występów. Ale artysta ma różne oblicza. Z zainteresowaniem czytywałem jego poważne, patriotyczne w wymowie felietony, publikowane tam, gdzie nie zaglądają raczej czytelnicy np. „Gazety Wyborczej".

*

Pisząc o Andrzeju Rosiewiczu korzystałem m.in. z jego stron internetowych andrzejrosiewicz.com.pl oraz andrzej-rosiewicz.com.pl, z której pochodzi zamieszczony wyżej logotyp artysty.

Wojciech Stanisław Grochowalski

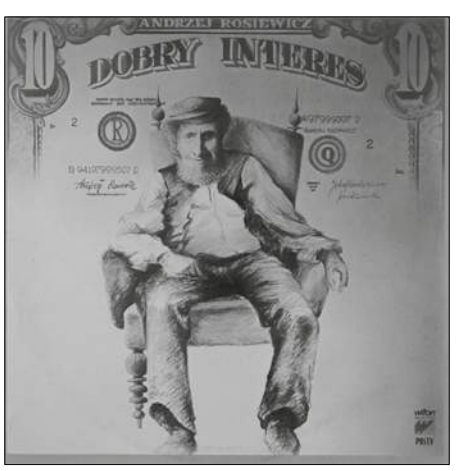

Michał Klubiński

„Chopin i jego Europa” – wielcy pianiści – wielka symfonika

Dwudziesty drugi już Międzynarodowy Festiwal „Chopin i jego Europa” w Warszawie (23 VIII – 6 IX 2026), organizowany przez Narodowy Instytut Fryderyka Chopina i jego wicedyrektora Stanisława Leszczyńskiego, stał się niewysłowionym świętem zarówno dla melomanów jak i krytyków muzycznych z całego świata. Chociaż zakorzenione w naszej świadomości stałe komponenty inicjatywy – wielka literatura pieśniowa, mainstream kameralistyki w wykonaniu największych artystów, rekonstrukcje koncertów salonowych, pojedynki artystów-wirtuozów, odczytywanie muzyki polskiej przez frapujące zespoły HIP, aluzje tematyczne w postaci humorystycznych *miscellaneów*, obecność zaprzyjaźnionych, kanonicznych artystów – zostały tym razem nieco uszczuplone (w niełatwych czasach), a miejsce frapujących ciekawostek repertuarowych zajmował coraz częściej żelazny repertuar, ta edycja festiwalu okazała się szczególna. W Warszawie bowiem wystąpiły trzy znakomite światowe orkiestry, towarzysząc eksponowanym solistom, z których lwia część to grono właśnie wyłonionych znakomitych laureatów ostatniego, XIX Konkursu Chopinowskiego (2025). Utopijna więc idea, aby „usymfonicznić” Chopina okazała się więc całkiem realna...

Duże zainteresowanie akredytacjami prasowymi w tym roku pozwoliły mi uczestniczyć w 10 spośród 16 tegorocznych koncertów. Ominęła mnie przyjemność słuchania dwóch koncertów Orchestre Symphonique de Montréal pod dyrekcją Rafaela Payare, z Kevinem Chenem i Erikiem Lu jako solistami. Swoją przygodę festiwalową rozpocząłem od wieczoru Sir Andrása Schiffa, który artysta podzielił między dwa fortepiany – współczesny Steinway i historyczny Pleyel – ostatni instrument Fryderyka Chopina, z kolekcji muzeum kompozytora w Warszawie. Schiff od pewnego czasu już nie anonsuje swoich programów w repertuarach – ze swoich recitali tworzy barwną narrację, podając program bezpośrednio z estrady, wzbogacając go erudycyjnymi i humorystycznymi zarazem komentarzami. Tak było w 2025 roku na zakończenie sezonu Filharmonii Narodowej, tak było też tym razem – podczas ogromnego, trzygodzinnego recitalu. Pierwszą część wypełnił program bachowsko-mozartowski (kompozytorów cenionych przez Chopina), w którym artysta pokazał drugiego twórcę jako zakorzenionego w dziedzictwie wielkiego poprzednika. Interpretacje Schiffa to rzadka dzisiaj doskonała emanacja postawy klasycznej – wsłuchiwania się w obiektywny i szlachetny przekaz tekstowy. W swoim Bachu artysta jest niezrównany – to połączenie delikatnej, perfekcyjnej artykulacji i precyzyjnego prowadzenia kontrapunktu, szlachetnego liryzmu, wyważonego rubato, dalekiego od wszelkich prób modernizowania kompozytora według dawnych szkół i współczesnych ekstrawagancji. Po wspaniałej Arii z *Wariacji Goldbergowskich* na początku usłyszeliśmy wczesny utwór Bacha – *Capriccio sopra la lontananza del suo fratello dilettissimo*, skomponowany w 1704 roku w Arnstadt ponoć na odjazd jego młodszego brata Johanna Jacoba jako oboisty do armii króla Szwecji (frapowała tu oddana przez Schiffa delikatną kreską ilustracyjność), następnie V Suitę francuską G-dur, niemalże dwunastodźwiękowy w lekturze słuchowej *Eine kleine Jig* Mozarta, *Ricercare à tre* z *Musikalisches Opfer* Bacha, prowadzący do wykorzystującej te same interwały we wstępie *Fantazji c-moll* Mozarta, zagranej właśnie po bachowsku, z małą ilością kontrastów, chociaż ze znakomicie oddaną teatralnością aluzji do powstającego ówcześnie *Don Giovanniego*, wreszcie dwie początkowe części z Sonaty F-dur KV 533 Mozarta, po perfekcyjnie zagrany *Koncert włoski* Bacha. Drugą część Schiff zaplanował już bez komentarza słownego – po zaskakującym Preludium i Fudze C-dur z I zeszytu *Das wohltemperierte Klavier* Bacha wykonał również na Pleyelu 1848 cały cykl *Preludiów* Chopina. Interpretacja ta wyróżniała się nieortodoksyjnością – miejsce technicznych doskonałości zajął subtelny, liryczny odcień i niebywałe barwy doprowadzonego przez konserwatora do maksimum ostatniego fortepianu Chopina (chociaż forma instrumentu pozostawiała wiele do życzenia). Potem przyszedł łańcuch wielu bisów, wśród nich zagrany przepięknie Mazurek a-moll op. 17 Chopina i Rondo c-moll Mozarta.

Pittsburgh Symphony Orchestra na festiwalu „Chopin i Jego Europa”, © Wojciech Grzedziński, NIFC, 2026

Tegoroczne wieczory, jak wspomniałem, wprowadzały nas *in medias res* w najwspanialszą światową pianistykę. Obok laureatów ostatniego Konkursu Chopinowskiego pojawił się znowu zwycięzca poprzedniej edycji, Bruce Liu, tym razem z Pittsburgh Symphony Orchestra pod batutą Manfreda Honecka wykonując *Rapsodię na temat Paganiniego* Rachmaninowa. Ja mogłem się wybrać na drugi koncert orkiestry, podczas której z zespołem koncertował zwycięzca Konkursu Czajkowskiego z 2019 roku, francuska gwiazda – Alexandre Kantorow (*I Koncert d-moll* Brahmsa). Jego pianistyka to rzadkie połączenie nieograniczonych możliwości technicznych i filozoficznego, bardzo intelektualnego snucia narracji „poza czasem”. Ujęcie Koncertu Brahmsa było stylistycznie idealne – podszyte nostalgią, kreślone delikatnym, wielobarwnym, choć zarazem matowym dźwiękiem i nawiązującym do Beethovena i Mozarta liryzmem. Na bis artysta wspaniale zinterpretował także lisztowską wersję *Miłosnej śmierci Izoldy* Wagnera. Reszta należała do orkiestry i Manfreda Honecka, którzy w drugiej części ukazali jawnie teatralnymi, amerykańskimi środkami dramat jednostki w *V Symfonii* Szostakowicza, wspaniale operując groteską i burleską, by ukazać mroczny liryzm opartej na smyczkach III części (jakość smyczków tej orkiestry, chociaż dysponujących znacznym wolumenem, była niezrównana). Całość zwieńczył przejmujący marsz donikąd w finale.

Wspaniały był też koncert słynnej Koninklijk Concertgebouworkest z Amsterdamu, goszczącej w Polsce ostatnio kolejny raz (po koncercie pod batutą jej szefa, Klausa Mäkeli w Katowicach w 2024 roku). Tym razem za sterami stanął fiński kapelmistrz, szef londyńskiej Philharmonia Orchestra, 40-letni Santtu-Matias Rouvali, solistą zaś w V Koncercie *Emperor* Beethovena był najwybitniejszy islandzki pianista, znany ze swoich nagrań bachowskich dla Deutsche Grammophon, Víkingur Ólafsson. Mimo, że jego interpretacja koncertu wydawała się pozbawiona blasku i siły dźwięku, na uwagę zasługiwała dopieszczona, zarazem zróżnicowana artykulacja, zwłaszcza odcinków lirycznych i rys całkiem spontanicznej, niebywale witalnej improwizacji, który zdominował finał. Oczywiście, jego dwa bisy bachowskie rodzajem dźwięku i pedalizacji pokonały wszystko – to *emploi* artysty. Po przerwie orkiestra zagrała *V Symfonię B-dur* Prokofiewa – fresk kontemplujący tyleż wielką ofiarę wojenną, ile żałobę i (dwuznaczne) zwycięstwo. To muzyka niesłychanie gęsto zinstrumentowana i ekstremalnie dramatyczna, z czym zespół poradził sobie perfekcyjnie i z wielką elegancją (drzewo! blacha! smyczki!), niekiedy eksponując typowo prokofiewowski witalizm. Niestety dyrygent ugrzązł w nadmiarze szczegółów i intensywnych kulminacji, rehabilitując się tylko na bis finezyjnym i wesołym (*sic!*) *Valse triste* Sibeliusa, jak również znakomicie odczytanym sonorystyczno-neoklasycznym *Divertimentem* na orkiestrę smyczkową Bacewicz (1965) na wstępie.

Dwa koncerty stałego rezydenta festiwalu – katowickiej {oh!} Orkiestry Historycznej, pod wodzą swojej znakomitej liderki, Martyny Pastuszki – zaspokoiły nasz głód na punkcie nieco skromniejszego w tym roku wykonawstwa dawnego. Podczas pierwszego wieczoru zespół towarzyszył największemu francuskiemu harfiście, Xavierowi de Maistre w Koncercie cenionego przez Chopina francuskiego kompozytora operowego przełomu XVIII i XIX wieku François-Adriena Boïeldieu (ten utwór nie jest może zbyt operowy, czasem wydaje się zbyt suchy i akademicki, co nie przeczy pięknych melodii – klasa solisty, z jego świetlistym dźwiękiem, szeroką skalą dynamiczną i *cantabile*, była niezrównana), aby kontynuować projekt wykonań i nagrań wszystkich symfonii Mozarta (tym razem *30. Symfonia D-dur* KV 202, zagrana dostojnie, barokowo, ale bez zniuansowania), oraz wszystkich koncertów skrzypcowych zakorzenionego znakomicie w zachodniej kulturze Oświecenia polskiego skrzypka, Feliksa Janiewicza – w transkrypcjach fortepianowych niemieckiego współczesnego kompozytora Sebastiana Gottschicka. Teraz, po skończeniu przez zespół projektu nagraniowego ze skrzypaczką Chouchane Siranossian, orkiestra i Martyna Pastuszka nagrywają owe fortepianowe wersje ze zwycięzcą Konkursu Chopinowskiego na Instrumentach Historycznych (2018), Tomaszem Ritterem, stałym bywalcem festiwalu. Wykonany tego wieczoru *V Koncert e-moll* (1803/1807) Janiewicza to muzyka wyrazistej pracy wariacyjnej i przetworzeniowej, efektowna i substancjalna w swej preromantyczności, zwieńczona nawiązującą do folkloru ukraińskiego bądź żydowskiego melodią. Ritter, przy swojej niekiedy nad-improwizacyjności i nieprzewidywalnym temperamencie, wywiązał się z tego zadania bardzo dobrze. Drugi wieczór z Martyną Pastuszką i jej orkiestrą przypadł mu na interpretację dwóch najbardziej wymagających koncertów Beethovena (czym kończy znów swój projekt nagraniowy dla NIFC-u) – czwartego G-dur i piątego Es-dur. W obu koncertach pianista wybrał sprowadzony specjalnie z Wiednia fortepian czasów Beethovena o nośnym brzmieniu i dzwoneczkowych górach – Johanna Baptista Streichera. Trzeba przyznać, że rzadko zdarza się wykonanie tych tak wielkich koncertów beethovenowskich przez jednego artystę podczas jednego wieczoru. Ritter ukazał tu cały kunszt swojej gry, frapując w „koncercie skowronkowym” delikatnymi fioriturami i potoczystą narracją, uderzającą znakomicie także w tony *concitato*, ale w *Emperorze* już zabrakło trochę, mimo wszechstronności pianisty, możliwości zbudowania realnej siły i symfonicznej potęgi, a zniuansowanie dynamiczne drugiej, napowietrznej części, podobnie jak części wolnej w *IV Koncercie*, było znikome, czemu nie sprzyjało też spojrzenie przez Martynę Pastuszkę wstecz – w „koncercie skowronkowym” było to dziedzictwo Carla Philippa Emanuela Bacha.

Godne wyróżnienia były także wieczory laureatów ostatniej edycji Konkursu Chopinowskiego. Laureatka III nagrody, chińsko-mongolska pianistka Zitong Wang, w swoim recitalu łączącym Chopina (*Nokturn H-dur* op. 9, 4 Impromptus) z Schumannem (*Davidsbündlertänze*) z Lisztem/Busonim (*Fantazja na tematy z „Don Giovanniego”*

Mozarta), ujęła słuchaczy wielką swobodą swojej gry, naturalnością i niezwykle dopracowaną artykulacją, unoszącą się napowietrznie w fantazyjności. Czy jednak artykulacja klawesynowa (artystka ma sporo doświadczenia także z tym instrumentem) sprzyjała estetyce *Impromptus* Chopina? Wspaniały okazał się recital laureata V nagrody (*ex aequo* z Piotrem Alexewiczem), malezyjskiego pianisty Vincenta Onga. Pianistyka Onga ma charakter powściągliwy pod względem operowania barwą, stosowania często lewego pedału, rygorystycznej, w duchu klasycznych szkół pianistycznych, artykulacji. W tym wszystkim jest jednak niebywała elegancja, szlachetność, arystokratyzm wyrazu. Tak było w zagranych bardzo stylowo *Wariacjach na temat Roberta Schumanna* Brahmsa, w *Largo assai* – transkrypcji z Kwartetu smyczkowego g-moll *Reitenquartett* oraz *V Sonacie E-dur* Haydna, ale też w idealnych technicznie, zagranych ekstrawertycznie 3 etiudach Bartóka. Po przerwie artysta fenomenalnie ujął wszystkie preludia Chopina, przewyższając Andrása Schiffa – z pewnością zasługiwałby na wyższą niż piąta *ex aequo* nagroda! Natomiast rozczarowała mnie laureatka IV nagrody (*ex aequo* z Shiori Kuwaharą), chińska 17-latka Tianyao Lyu, która z Narodową Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia pod batutą ciężko akompaniującego i nieskutecznego w sposób akademicki w *II Symfonii* Schumanna Austriaka Christiana Arminga, wykonała tym razem *Koncert f-moll* Chopina (odmiennie niż w finale konkursu, kiedy to wykonywała e-moll). Miałem wrażenie, że jej perlista, swobodna technika nie wystarcza na ujęcie fantazyjności i rapsodycznej zmienności tego koncertu, a próba obleczenia się w rzeczowe tony nie do końca tworzy własną poetykę. Artystka stoi obecnie na rozdrożu, nie wiadomo co jeszcze przyniesie nowego jej styl gry, czuje się także nieco wyczerpana dużą ilością koncertowych zobowiązań po konkursie. Gdybyż mogła grać z równym entuzjazmem, co nastrój krotochwilnej, rossiniowsko-weberowskiej *Uwertury koncertowej D-dur* op. 1 przyjaciela Chopina ze szkolnej ławy, Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego, wykonanej na początku koncertu – dla dopełnienia historycznych, co prawda skromnych w tym roku, odniesień do dzieła wielkiego Fryderyka!

Koncertów kameralnych w tym roku było jak na lekarstwo, recitali pieśniowych, z których słynął festiwal – nie było w ogóle. Nie mogłem być na koncercie Roela Dieltiensa, wspaniałego wiolonczelisty holenderskiego z nurtu HIP, który wykonał Introdukcję i Polonez oraz Sonatę Chopina w towarzystwie kilku miniatur Auguste'a Franchomme'a, ale za to podziwiałem osobliwy, choć nieco odmienny w estetyce duet wspomnianej skrzypaczki francusko-ormiańskiej (również z nurtu HIP), Chouchane Siranossian, stałej bywalczyni festiwalu, z Martínem Garcíą Garcíą, laureatem III nagrody Konkursu Chopinowskiego w 2021 roku. Zderzenie paradoksalne – obok obiektywizującego werniksu skrzypiec Siranossian – wybuchowy, nieokiełznany temperament Garcíi Garcíi. Może najlepiej artyści odnaleźli się w *I Sonacie G-dur* Brahmsa, gdzie klasycystyczną poetykę podzielali oboje (aczkolwiek gra pianisty była bardziej przekonująca), mniej za to, w (skądinąd bardzo ciekawym, przywołującym muzykę Brahmsa i Schumanna) *Grand Duo* A-dur kompozytora i pianisty lwowskiego, ucznia Chopina, Karola Mikulego. Tę ciekawostkę, przywodzącą też nastrój świetności polskiej szkoły wiolinistycznej XIX wieku, przywiozła nam Siranossian, za sprawą odkryć jej ojca, ormiańskiego muzykologa. Również niezbyt ciekawa wykonawczo była druga część wieczoru, podczas której zabrzmiały obok siebie dwa symbole francuskiej muzyki skrzypcowej – Sonata Debussy'ego i Sonata Francka. Jedynie w tej ostatniej skrzypaczka zaczęła bardziej romantycznie frazować, poszukując ideału na miarę tajemniczej tzw. małej frazy – inspiracji w *Poszukiwaniu straconego czasu* Prousta.

A może jednak warto było do koncertu z Garcíą Garcíą zaprosić Agatę Szymczewską, która podjęła się – fenomenalnie – nagłego zastępstwa podczas finału festiwalu za Bomsori Kim, niedysponowaną koleżankę, w *Koncercie skrzypcowym* Karłowicza? I zagrała ten wymagający technicznie koncert z niebywałą klasą, frapując bardzo dopracowaną techniką, żarliwą kantyleną i pięknym tonem, po wykonaniu racząc publiczność z estrady wesołymi opowieściami, że „sama miała bilet na ten koncert" i „nie znamy dnia ani godziny". Towarzyszący jej znany włoski kapelmistrz, Riccardo Minasi oraz Orkiestra Filharmonii Narodowej sprostali wspaniale zadaniu wykonania *Uwertury Akademickiej* oraz *IV Symfonii* Brahmsa, mimo, że estetyka przyjęta przez dyrygenta była nieco zbyt witalna jak na protestancki wymiar drugiego z dzieł.

Wielkim akcentem symfonicznym kończył się ten znakomity festiwal. W atmosferze pełni i jednocześnie wczesnowrześniowej znikomości tego świata (jak w kanwie utworu)...

Michał Klubiński

Firma

Amcor – światowy lider w produkcji opakowań: kartonowych (np. na papierosy), foliowych (np. na czipsy), pvc (np. butelki pet); firma występuje w kilku grupach biznesowych, m.in. Amcor Flexibles, Amcor Specialty Cartons Poland. Produkują opakowania do żywności, napojów, farmaceutyków, środków czystości i inne produkty. Jest to firma globalna, zatrudnia ok. 50.000 pracowników na całym świecie (w ponad 40 krajach), roczny przychów 13 mld $.

W Łodzi firma ma dwa zakłady produkcyjne, na zdjęciu główna brama wjazdowa do biura i zakładu przy ul. Aleksandrowskiej 55. Firmę tę – jeszcze pod inną nazwą – rozwijał w tym mieście Jerzy Czubak, ob. Szef Produkcji Globalnej f. Amcor w Zurychu. A ponieważ jest to człowiek kultury – biznes przyszedł później! – absolwent Uniwersytetu Łódzkiego, w czasach studenckich aktor słynnego Teatru Pstrąg, zatem i od początku swojej biznesowej aktywności Pan Prezes i zarządzane przez niego firmy wspierały i wspierają kulturę. Dość powiedzieć, że stałymi beneficjentami p. Czubaka i Amcora są w Łodzi – obok wspominanych tu artystów plastyków – m.in. Teatr Powszechny, Rubinstein Piano Festival, Grand Prix Jazz Melomani czy „Kultura i Biznes".

Podziękowania za tak piękną biznesową postawę należą się i kolejnym łódzkim dyrektorom Amcora. Obecnie jest to p. Cezary Wojciechowski, który przed kilkunastoma laty wspierał też znany i goszczący wtedy w Łodzi festiwal filmowy Camerimage.

Galeria

Galeria Amcor – pomysł sprzed 30 (!) lat prezesa Jerzego Czubaka, by w biurze firmy – wtedy Rentsch Polska, prezentować dzieła sztuki. Jako łodzianin, zapraszał głównie łódzkich twórców oraz związanych z Łodzią. Prezentowane są: rysunki, grafiki, obrazy, fotografia, a wystawy (organizuje się ich kilka w roku) mieli tam najwybitniejsi artyści. Taka działalność to ewenement w skali kraju, piękne połączenie kultury i biznesu! Co roku galeria prezentuje – jako nagrodę w Konkursie im. Władysława Strzemińskiego w łódzkiej ASP – wystawę studenta tej uczelni, zaś sama galeria organizuje własny konkurs dla studentów ASP na małą formę graficzną. Galeria Amcor i firma Amcor Specialty Cartons Polska wydają katalogi wystaw, a także książki o tematyce artystycznej, na temat sztuki. Artyści wystawiający swoje dzieła opracowują plakaty wystaw, ich ekspozycja znajduje się w Amcorze na stałej wystawie.

Galeria mieści się oczywiście na terenie fabryki, ma wydzielony pokój w części biurowej (na spotkania artystyczne, dyskusje o sztuce, finisaże) oraz długi hall ze ścianami na ekspozycje. Kuratorem galerii jest prof. ASP Witold Warzywoda.

Na jubileusz 30-lecia Galerii Amcor, obchodzonego 23 X 2026 przy ul. Aleksandrowskiej 55, przygotowano wystawę retrospektywną *Witold Warzywoda – litografia barwna* oraz trzeci tom książki Dariusza Leśnikowskiego *Czytanie sztuki*.

Na zdjęciu fragment ekspozycji Piotra Skowrona „Linie" (sitodruk), wystawa z 2026 r.

Roman Markowicz

81 Międzynarodowy Festiwal Chopinowski w Dusznikach-Zdroju

(7-15 sierpnia, 2026), revised

Wniecały rok po konkursie chopinowskim, można się było spodziewać udanego festiwalu, choćby ze względu na samą ilość laureatów zaproszonych do udziału w dusznickiej imprezie. Nie spodziewałem się jednak, że okaże się to jednak impreza praktycznie bez potknięć: w mojej ocenie nie było ani jednego występu, który można by określić jako nieudany, lub na słabym poziomie. Jedyne – i to w sumie minimalne – rozczarowania dotyczyć mogły jedynie kwestii interpretacji danego wykonawcy, która w większym lub mniejszym stopniu mogła przypaść nam słuchaczom do smaku.

Osobiście oczekiwałem wiele po laureatach ostatniego Konkursu Chopinowskiego, tuż po konkursowych zmaganiach, liczni z nich występowali po całej Polsce. Ja, przebywając w Nowym Jorku, po Konkursie miałem jedynie szansę usłyszeć tak jedynie **Piotra Alexewicza** w recitalu zorganizowanym w niewielkim miejscu przez wysoce niekompetentnego prezentera. Grał bardzo dobrze i brzmiał dobrze nawet na dalekim od doskonałości instrumencie. Ominęły mnie natomiast wszystkie triumfalne występy laureatów i ulubieńców polskich melomanów, którzy stanowili – sądząc z ilości informacji – główny materiał muzyczny polskiego życia koncertowego „po Konkursie".

„Nasza Marysia, nasz Yehuda, nasz Piotruś"

Wszyscy oni-ulubieńcy wystąpili przed duszniczką publicznością, uchodzącą za jedną z najbardziej wymagających w kraju. Grać przed nimi Chopina jest wyzwaniem. Nieco humorystyczna ocena dusznickich słuchaczy mówi, że „ na 250 osób na sali, 249 jest ekspertami, a jeden, który nim nie jest, to siedzi przy fortepianie". Jest w tym sporo prawdy, jak miałem niejednokrotnie szansę przekonać się podczas po koncertowych rozmów. Tak więc „nasza Marysia i nasz Piotruś" wystąpili podczas koncertu inauguracyjnego, który niestety, jak kilka innych, natychmiast został zdjęty z festiwalowego kanału You Tube tuż po zakończeniu występu dwójki pianistów.

Wydaje się, że powstała nowa, kosztowna tradycja otwierania Festiwalu w koncertowym namiocie i przy udziale orkiestry symfonicznej z programem obu koncertów patrona Festiwalu. Tym razem koncert f-moll op. 21 przypadł w udziale **Piotrowi Alexewiczowi** (V nagroda Konkursu), a koncert e-moll, ulubienicy Polaków, laureatce IV nagrody **Tianyao Lyu**, czyli „naszej Marysi". Solistom towarzyszyła tym razem wrocławska Filharmonia NFM, którą, tak jak rok temu, prowadził Paweł Kapuła.

Koncert rozpoczęła koncertowa uwertura *Hybrydy* op. 26 Feliksa Mendelssohna i w tym momencie ubolewam nad faktem, że nie byłem w stanie skonfrontować radiowego czy streamingowego nagrania z tym, co słyszałem pod koncertowym namiotem. A to co dotarło do moich uszu było pod pewnymi względami nostalgicznie, jako, że przypominało mi dawno już chyba dziś zapomniany poziom polskich orkiestr regionalnych mojej młodości. Przed 60 laty nie brzmiały one rewelacyjnie.

Piotr Alexewicz wydaje się nigdy nie schodzić poniżej pewnego poziomu doskonałości i muzykalności: jego interpretacja była właśnie taka i być może gdyby nie konfrontacja z wersją koncertu e-moll słyszanego po przerwie w wykonanego przez „naszą Marysię", mój entuzjazm dla pana Alexewicza byłby jeszcze większy.

Tianyao Lyu posiada inny typ uderzenia, bardziej wyrazisty, błyskotliwy, nieco „elektryczny", który powoduje „wyprostowanie się w fotelu". Być może ta perlistość, selektywność brzmienia dodaje jej pianistyce i grze tej frapującej osobowości. Jak wielu innych – może większość słuchaczy? – słyszę w jej chopinowskich interpretacjach świeżość, naturalność i nieco trudną do zdefiniowania radość z gry, która dawno temu cechowała amerykańskiego pianistę, również uwielbianego w Polsce, Malcolma Fragera. Czuję komfort słuchając jej grę i jest to jeden z największych komplementów, jakie mogę ofiarować artyście.

Każdy z pianistów zaoferował jeden bis: pan Piotr zagrał rzadko słyszanego, zbliżonego wirtuozowskim charakterem do Grunfelda *Walca Caressante* Respighiego (któż dziś zna jego kompozycje fortepianowe?), a jego chińska koleżanka kompozycję łączącą Chopina, Debussyego i próbę połączenia klasyki z chińszczyzną.

„Nasz Yehuda" – **Yehuda Prokopowicz**, który jeszcze rok temu wystąpił w Hotelu Fryderyk podczas tzw. „imprez towarzyszących", w tym roku zaprezentował własny solowy recital z racji zdobycia podczas Konkursu Chopinowskiego w 2025 r. nagrody za wykonanie chopinowskich mazurków. Swój program poświecił kompozycjom Chopina (6 mazurków, *Fantazja f-moll* i *Ballada f-moll*) oraz Mozarta (*Adagio h-moll* K.540), Liszta (dwie *Etiudy transcendentalne*) i Bartoka (Sonata, Sz.80).

Jego mazurki są faktycznie przekonywujące: pianiści wiedzą dobrze, jak trudnym interpretacyjnie idiomem są mazurki i Prokopowicz trudny zarówno w narracji jak i rytmicznie idiom mazurków wydaje się, że ma już we krwi. To, co zyskało mu przychylność niektórych słynnych jurorów, a więc ciepły, nośny, ale pozbawiony szorstkości dźwięk i swoboda gry, było również ewidentne. O ile zaznajomiony byłem z jego Chopinem, to również bardzo pozytywnie odebrałem wirtuozowskie wersje Liszta i Bartoka. W dwu kontrastowych charakterem etiudach wykazał się pełną rozmachu wirtuozerią, ładną narracją i uderzeniem.

Zaskoczył mnie jego Mozart, bo w tej jedynej jego kompozycji w tonacji h-moll, z cudownym przejściem do H-dur w ostatnich czterech taktach, Prokopowicz zaryzykował na dość interesujące ornamentacje nieobecne w oryginale. Udowodnił, ze jest nie tylko charyzmatycznym pianistą, ale także myślącym. Kontrowersje budziło, jak zawsze, typowe dla tego pianisty wpatrywanie się w publiczność. Budzi to częste negatywne reakcje słuchaczy i choć sam mógłbym się bez tego obejść, to stanę jednak w jego obronie: jestem zdania, że w komfort artysty na scenie powinien górować nad komfortem publiczności. 20 ekstra sekund nie powinno jej aż tak bardzo zaszkodzić. To samo odnosi się do gry z nut, która również przeszkadza pewnym słuchaczom, szczególnie z pianistycznej profesji (pewnym krytyczkom również): jeśli artysta gra dobrze z nut, to może powinni oni zająć się raczej wykonawcami, którzy grają słabo z pamięci…

Nieprzewidziane zmiany w programie

Nicola Meeuwsen z Holandii odwołał swój recital i jego miejsce dyrektor Festiwalu zaprosił dwóch młodziutkich muzyków, **Filipa Kaucha** (ur. 2009) oraz **Olivera Haka** (ur. 2010). Obydwoje są wielokrotnymi laureatami I-szych nagród międzynarodowych konkursów młodzieżowych: Kauch ostatnio w Sanoku, Hak konkursu w Szafarni. Rad jestem, że nie poddałem się pierwotnej decyzji odpuszczenia sobie tych „młodzieżowych" występów. Okazało się, że mieliśmy do czynienia z niepospolicie utalentowanymi młodymi artystami, oferującymi nieprzeciętny warsztat pianistyczny i budzącą szacunek muzykalność. Filip Kauch, wyglądający znacznie młodziej niż by jego data urodzenia wskazywała zaprezentował bardzo w sumie dobre zrozumienie w komplecie chopinowskich mazurków op. 30, dojrzałość i niecodzienne odczytanie linii basowej w *Balladzie f-moll*, którą na pewno za kilka lat zagra jeszcze bardziej dojrzale. Wielkie uznanie budziły również zagrane z polotem *Intermezzo Polacca* op. 14 nr 5 I.J. Paderewskiego i wirtuozowska, trudna i podobnie jak Paderewski pozbyta kompozytorskiej inspiracji *Fantasia betica* Manuela de Falli.

Nie ukrywam jednak, że największe wrażenie zrobiły na mnie kompozycje J.S. Bacha otwierające i kończące program. *Preludium i Fuga Es-dur* z I-szego zeszytu WTK o niezwykle przejrzystym kontrapunkcie, a szczególnie *Gigue* z *IV Partity D-dur* budziły podziw: w tej kompozycji zagranej na bis byłem zachwycony wyrównaniem brzmienia, selektywności artykulacji i absolutnej niezależności rąk: ten fragment jest często cytowany jako jedna z najbardziej niewygodnych dla pianisty kompozycji Bacha.

O rok młodszy Oliver Hak i mający polskie korzenie, jeszcze bardziej niż Filip wbił nas w fotel muzykalnością i zadziwiającą wręcz wirtuozerią. Na podstawie jego 50. minutowego recitalu miałem uczucie, że prowadzony jest jakimś niezawodnym kompasem, albo… przez niezawodnego pedagoga. Ale jak dobrze wiemy, ani muzykalności, ani talentu nie można nauczyć. Te ostatnie młodziutki Hak ma wręcz w nadmiarze. *Sonata h-moll* Haydna, grana bez powtórek, była modelem precyzji, dobrego smaku i poczucia stylu. Finałowe *Presto* wręcz skrzyło się pod jego palcami. Trzy kompozycje Chopina (*Mazurek a-moll* op. 17 nr 4, *Noktrurn cis-moll* op. 27 nr 1 i *Walc Es-dur* op. 18) były także modelem stylu i elegancji. Pewne idee interpretacyjne okazały się wręcz odkrywcze. Szesnastolatek??? Może nawet bardziej imponująca była sonata *Apres une lecture du Dante* Liszta, w której Oliver Hak wykazał się nadzwyczajną dojrzałością, budowaniem formy i przede wszystkim może zadziwiającą wirtuozerią, godną Boleta czy Pletneva. W tej kompozycji, jej wykonawcy niejednokrotnie poddają się chęci zademonstrowania wątpliwego gustu, nadużywania siły czy wręcz wulgarności. Byłem zaskoczony, jak młodemu pianiście udało się tych pułapek uniknąć. „Wisienką na torcie" był jego bis: *Wariacje na temat tańca cygańskieg*o z opery *Carmen*, legendarna transkrypcja Vladimira Horowitza, którą Hak grał z lekceważącą wręcz łatwością i precyzją. To wykonanie warte było ceny biletu. Jedyne, co mogę dodać: to nie tylko „my-publiczność" powinniśmy mieć tego młodego fenomena klawiatury na oku, ale raczej jego koledzy, którym przyjdzie z nim w przyszłości konkurować.

Co pozostanie nam na długo w pamięci

Do najbardziej pamiętnych recitali należały według mnie festiwalowe debiuty koreańskiego 19-latka **Saehyun Kima**; laureatki III nagrody na ostatnim Konkursie **Zitong Wang** oraz powrót **Alexandra Kobrina**, również laureata III nagrody na Konkursie Chopinowskim w 2000 roku.

Saehyun Kim wygrał w 2025 konkurs Marguerite Long/Jaques Thibaud i od tego momentu jego międzynarodowa kariera eksplodowała. Na podstawie słyszanego i widzianego jego występu w Dusznikach, wcale mnie to nie dziwi. Usłyszeliśmy w jego wykonaniu *Sonatę G-dur* D.894 Schuberta oraz komplet 12 etiud op. 25 Chopina. Usłyszeliśmy również wypływający z fortepianu dźwięk, rzadko słyszany na tym, czy którymkolwiek z ostatnich festiwali. Aksamitny ton, wyzbyty jakiejkolwiek szorstkości, o pastelowych barwach i wielkiej skali dynamicznej, w której dominowały wszelkie odcienie piana czy pianissima. Sonata Schuberta, w której przeplatała się subtelność i bardziej rustykalny charakter, wyzbyta była przysłowiowych „niebiańskich dłużyzn": melodie posiadały wokalny charakter, muzyka płynęła swobodnym nurtem, choć nie brakowało eksplozywnych kontrastów. W ostatniej części specjalnie spodobał mi się posuwisty, taneczny charakter, z lewą ręką imitującą kłus konia: tutaj miałem wrażenie, że artysta wychowywany przez wielkiego Dang Thai Sona, w równiej mierze inspirował się takimi mistrzami jak Radu Lupu czy Andras Schiff. Zaskakująca była u 19-latka ta niecodzienna dojrzałość.

Prawdziwą rewelacją okazała się jednak druga, chopinowska część, którą otworzyła przepięknie zagrana *Barkarola* op. 60, a dopełniły tak dobrze nam znane etiudy z op. 25.

Tak często słyszana na estradzie Dworku Chopinowskiego *Barkarola*, podobnie jak i etiudy, była pełna subtelności, niezliczonych niuansów i detali, rzadko, jeśli kiedykolwiek, demonstrowanych u innych pianistów. To jest właśnie cechą wielkich interpretatorów, którzy w znanej partyturze potrafią dopatrzyć się pomijanych przez innych detali, lub środkowych głosów. Było tam połączenie ekspresji, uczucia nostalgii (*Etiuda cis-moll* nr 7!), a jednocześnie jakiegoś spojrzenia z góry, gdzie nie obowiązują już prawa przyciągania. Jednak największym atutem tej nieskazitelnej pianistyki była rzadka dziś, szczególnie u młodych artystów, elegancja i swoboda rytmiczna, naturalne wyczucie frazy i niepospolicie wyrafinowane, subtelne uderzenie: cechy, które charakteryzowały grę dawnych mistrzów. Zarówno w *Barkaroli* jak i etiudach Kima na myśl przychodziły porównania nie z Ashkenazym, Pollinim czy Kevinem Chenem, ale raczej Ginzburgiem, Moiseiwitchem czy Cortotem.

Bisy potwierdziły jedynie mistrzowskie opanowanie warsztatu pianistycznego i wspomnianą juz elegancję i subtelność dotyku, kiedy powtórnie pojawiło się głaskanie klawiatury. Były nimi *Barkarola a-moll* nr 1 Gabriela Faure, opracowanie piosenki Charlesa Treneta *April In Paris* w aranżacji Alexisa Weissenberga i wreszcie *Walc As-dur* op. 42 Chopina, ponownie z wytwornością i staromodną elegancją.

Tak, zdaję sobie sprawę z tego, że nie są to typowe komplementy, którymi na co dzień obdarowuję nastolatków….

Czekałem z niecierpliwością na recital **Zitong Wang**, bo od dawna była ona jedną z ulubionych młodych pianistek. Mój entuzjazm budziły jeszcze jej amerykańskie występy na trzy lata przed powrotem do Warszawy, gdzie nagrodzono ją w 2025 r. III nagrodą. Rok temu bardzo pozytywnie opisywałem wcześniejsze recitale mojego innego faworyta, Kevina Chena: teraz, po absolutnie zjawiskowym recitalu w Dusznikach, zastanawiam się, czy ma ona jakikolwiek powód, aby chylić przed swoim kanadyjsko-chińskim kolegą czoła. Pierwsza część recitalu składała się z kompletu 4 impromptus i *Poloneza Fantazji* op. 61 Chopina, w drugiej usłyszeliśmy *Sonatę Es-dur* K.282 Mozarta, dwie pieśni Chopina (*Życzenie* i *Moja pieszczotka*) w opracowaniu Liszta i tegoż *Fantazję na tematy z Wesela Figara* w opracowaniu Ferruccio Busoniego.

W impromptus Zitong zaproponowała nam bardziej niż zazwyczaj intymną wersję, szczególnie w tych najbardziej wymagających: nr 2 Fis-dur i nr 3 Ges-dur, te ostatnie z przepięknie zarysowaną wiolonczelową partią lewej ręki. Tutaj jej styl gry przypominał mi niespieszne, mądre wykonania Mieczysława Horszowskiego, w których biegłość palcowa była jedynie środkiem do osiągnięcia muzycznego celu. Tej było pod dostatkiem w najsłynniejszym spośród nich, op. 66 zwanym *Impromtu Fantaisie*. Nie byłem chyba jedynym na szczelnie wypełnionej sali, który był pod wrażeniem, że *Polonez Fantazja* był inną opowieścią niż podczas Konkursu. Dla mnie, który ma to dzieło w palcach od wielu dekad i ma się rozumieć posiada własną wizję tej epickiej opowieści, była to interpretacja, której poddałem się bez oporów i w której generalnie „kupiłem wszystko". Wersja Zitong była pełna refleksji, pełna spokojnej narracji, o cudownych detalach i delikatności brzmienia. Ah, to brzmienie! Ten sam fortepian Fazioli, który dzień wcześniej pod palcami Erica Lu brzmiał najwyżej poprawnie, kiedy zasiadła przy nim Zitong Wang rozśpiewał się. Zamiast trochę „obojętnego" tonu, usłyszeliśmy lejący sie nieprzerwanym strumieniem miód. Podobnie do wspominanego powyżej Koreańczyka, w brzmieniu jej chopinowskich interpretacji dominowały pastele raczej niż akryl.

Po przerwie stylowy, elegancki, wyważony Mozart, dwie, skrzące się jak brylanty opracowania piosenek Liszta i wreszcie *tour de force*, legendarna ze swoich trudności *Fantazja na tematy z Wesela Figara*. Wśród koneserów pianistyki mityczna dziś wersja Grigory Ginzburga uznawana była za niedoścignioną: tak, jak rok temu wydawało się nam, że w fantazji na tematy z opery *Don Giovanni* Kevin Chen zbliżył się do niedoścignionego ideału, w tym roku to samo uczucie miałem słuchając tej nadzwyczajnej chińskiej pianistki, której *Sonata h-moll* Liszta też mi się niegdyś taka wydała. Nie wierzyłem, że usłyszę kiedyś na żywo wykonanie o podobnej doskonałości. Były to szczyty wirtuozerii, ale też wdzięku i muzykalności. Zitong Wang jest w tym momencie, podobnie jak Saehyun Kim, uczennicą wspaniałego Dang Thai Sona: czy niechcący zdominował on także dusznicki Festiwal?

Tyle, jeśli chodzi o młodszą generację, u progu światowej, miejmy nadzieję, kariery.

Starsi mistrzowie

Aleksancer Kobrin pojawiał się już niejednokrotnie w Dusznikach, a ja słyszałem tego artystę wielokrotnie za oceanem, gdzie również rezyduje. W jego nowojorskich recitalach często oferował nam kompozycje Schumanna, Rachmaninowa, Brahmsa i Beethovena: pewne z nich zapadły w pamięci na lata. W Dusznikach skoncentrował się na relacji dwóch właśnie z wielkich niemieckich romantyków Brahmsa i Schumanna: ten drugi stał się dla 20 letniego Brahmsa mentorem, muzycznym ojcem i ostoją. Dla młodego Brahmsa – a starszego może nawet bardziej! – relacja z żoną Schumanna, Clarą Wieck, była jedną z bardziej legendarnych. Młodziutki kompozytor widział w niej i wielką artystkę i powierniczkę, natomiast element romantyczny, w jego świadomości albo płonął, albo się zawsze, do końca życia, żarzył.

Kobrin przedstawił nam najpóźniejsze solowe kompozycje Brahmsa: sześć miniatur tworzących opus 118 i cztery z 119, dzieła często określane „jesiennymi". Nie jestem więcej pewien, że ten właśnie przymiotnik przyszedłby mi na myśl podczas pierwszego zetknięcia z tymi bardzo osobistymi „wyznaniami-na-fortepian", natomiast nie było wątpliwości, iż podejście pianisty do tej muzyki było być może najbardziej intymne jakie dane mi było słyszeć, bardziej nawet niż podczas zeszłorocznego dusznickiego recitalu Piotra Anderszewskiego, którego cudowna tonalna paleta dziś wydawała mi się nieco mniej pastelowa. W przypadku Kobrina, który swoim recitalem zyskał moją jeszcze większą estymę jako wielki interpretator, autor tych słów miał uczucie podsłuchiwania samotnego kompozytora przegrywającego sobie swoje finałowe, nostalgiczne utwory. Wolumen instrumentu rzadko przekraczał *mezzo piano,* poza oczywiście dramatycznymi momentami jak *Ballada g-moll* op. 118 nr 3, czy wieńcząca zestaw 10 kompozycji triumfalna w nastroju *Rapsodia Es-dur* op. 119 nr 4. Warto zaznaczyć, że Kobrin dwa ostatnie opusy fortepianowych utworów Brahmsa potraktował jako całość przechodząc od ostatnich gasnących dźwięków przejmującego *Intermezza es-moll* z op. 118 do pierwszych ledwo słyszalnych pojedynczych dźwięków *Intermezza h-moll* op. 119. Tutaj mieliśmy niewielką powtórkę z Anderszewskiego, który stworzył jeden długi cykl łącząc niepowiązane ze sobą kompozycje z czterech opusów miniatur.

Tonalnie była to demonstracja odmiennych gatunków aksamitu: artysta nie tyle uderzał w klawisze, co je głaskał czy pieścił. Dziś mało kto posiada ten typ brzmienia, które oparte jest na nadzwyczajnej kontroli klawiatury, ale w równym stopniu wewnętrznej potrzebie uzyskania tego dźwięku i wyobraźni, która ów dźwięk kreuje. Brahmsowi nie mogę jakoś wybaczyć, iż swoje kompozycje fortepianowe kończy tę optymistyczną, wirtuozowską, dumną rapsodią raczej niż wspomnianym przejmującym *Intermezzem es-moll*, prawdziwie jesiennym, gasnącym, przepełnionym odległymi wspomnieniami.

Zdaje się, że twórca zamierzał uczynić z nich spójną całość, w której nietrudno dostrzec obecność, jeśli nie widma śmierci, to przynajmniej refleksji człowieka u kresu życia. Dla wielu, op. 118 stanowi cykl utworów mówiących o przemijalności ludzkiej egzystencji.

W drugiej części recitalu usłyszeliśmy schizofreniczne fragmenty, które tworzą ośmioczęściowy cykl *Kreisleriana* op. 16, oparte na prozie niemieckiego romantycznego autora E.T.A. Hoffmana. Nie podzielam tutaj opinii swojego znakomitego kolegi po piórze Michaela Morana, który utrzymuje, że jedynie znając owe teksty o kotach, jest się w stanie pojąć znaczenie tego paranoidalnego, wewnętrznie rozdartego cyklu. Czy rzeczywiście?

Schumann początkowo zamierzał zadedykować to dzieło żonie Clarze, ostatecznie jednak dedykacja przypadła jego przyjacielowi, Fryderykowi Chopinowi, który dzieła owego nie zrozumiał i nie docenił. *Kreisleriana* skomponował w zdumiewająco krótkim czasie – zaledwie czterech dni kwietnia 1838 roku. Sama Clara, poznając to dzieło po raz pierwszy, pisała: „Czasami twoja muzyka wręcz mnie przeraża i zastanawiam się: czy to w rzeczywistości prawda, że twórca takich rzeczy zostanie moim mężem?". Wyzwanie stanowiło ono nawet dla samego Franciszka Liszta, który uznał je za „zbyt trudne w odbiorze dla publiczności".

W liście do Clary, Schumann pisał: „Graj czasem moje *Kreisleriana*. Miejscami odnajdziesz w nich dziką, nieokiełznaną miłość, a także nasze wspólne życie i wiele twoich spojrzeń". Pisał też: „Spośród tych wszystkich rzeczy [moich dzieł] najbardziej kocham *Kreisleriana.*

To wielkie arcydzieło, odznaczające się złożonością emocjonalną i konstrukcyjną, odzwierciedla wiele cech osobowości Schumanna – jego porywczy, zmienny temperament w duchu Don Kichota – a także literackie i narracyjne elementy pierwowzoru. Kontrastujące ze sobą, gwałtownie urywane fragmenty zderzają się w sposób ironiczny, by ostatecznie jednak się połączyć.

Kobrin, jak niegdyś inny wielki rosyjski pianista Mikhail Pletnev, wczuł się w charakter Euzebiusza i Florestana, ale chyba ten łagodniejszy Euzebiusz w jego interpretacji zrobił na mnie bardziej niezapomniane wrażenie. Łagodność, śpiewność, piękne uderzenie wokalne frazowanie, które tak u pianistów cenię, były wszechobecne. Artysta bisował czterokrotnie: Schumannem (ze *Scen dziecięcych*), Chopinem (*Preludium* i *Etiudą As-dur*), wreszcie preludium Debussy'ego *Dziewczynka o włosach jak len,* być może kolejna aluzja do swojej własnej córki, której urodziny wspomniał z estrady.

Shiori Kuwuhara otrzymała IV nagrodę na ostatnim Konkursie w Warszawie i jej grę polubiłem za bezpośredniość i bezpretensjonalność. W tym momencie pragnąłbym zaznaczyć, że obie te charakterystyki cechowały także interpretacje Artura Rubinsteina, szczególnie te chopinowskie, które wielu wielbicieli pianistyki do dziś stawia ponad innymi. Nie znaczy to, że 29-letnia Japonka wzoruje się właśnie na nim, ale nie ukrywam, iż budzi

moje uznanie kiedy artysta nie stawia własnego ego przed istotą muzyki, a także przykłada wagę do samej logiki wykonania.

Pierwszą część programu wypełniły dzieła Mozarta (*Rondo D-dur* K.485), utrzymana w tej samej tonacji *Chacona* z *II Partity na skrzypce solo* J.S. Bacha w opr. Busoniego i *Fantazja C-dur* D.760 (Wanderer/Wędrowiec) Schuberta. Druga, w całości poświecona została Chopinowi: usłyszeliśmy *Nokturn H-dur* op. 9 nr 3, dwie ballady As-dur op. 47 i f-moll op. 52 oraz *Poloneza-Fantazję* op. 61. Polonezem, tym razem As-dur op. 53, był również jeden tego wieczoru bis.

O pierwszej części recitalu, gdyby się było niechętnym, można by powiedzieć, że było to typowe, perfekcyjne granie konkursowe. Mówiąc o konkursach Kuwuhara posiada laury nie tylko z Warszawy, ale także z Tel Avivu i Brukseli, czyli światowej rangi konkursów pianistycznych. Muzykalność pianistki, wspomniana już logika wykonania, umiar i opanowanie, wspierana były potężnym, soczystym dźwiękiem.

Bardzo duże wrażenie zrobiła na mnie przekazana z rozmachem, wirtuozowska, choć doskonale kontrolowana *Fantazja C-dur* Schuberta, o żelaznej logice i konsekwentna w formie. Była to monumentalna interpretacja, w której sama „technika", jak rzadko kiedy, stała się jedynie środkiem do osiągnięcia muzycznego celu, a nie pokazem „jak prędko i głośno potrafię grać". W moim odczuciu interpretacja Fantazji Schuberta należała do najbardziej przekonywujących, jakie może kiedykolwiek słyszałem.

Te samo komplementy zaoferowałbym interpretacji *Poloneza-Fantazji*, kompozycji, której każdą nutę znam i pod interpretacją Kuwuhary nie wstydziłbym się podpisać.

Nie ukrywam, iż cenię pianistów, którzy swoich emocji nie demonstrują wyłącznie zmianami agogiki, a oznaczeń dynamicznych nagłym zwalnianiem lub przyspieszaniem tempa. Jeszcze bardziej cenią pianistów, którzy **nie poddają się** „tradycji" wykonawczej, często opierającej się na „tradycyjnym", często nieprawidłowym odczytaniu tekstu (nagminne w tradycji chopinowskiej). Być może, dlatego tak mi się spodobała wirtuozowska, ale doskonale kontrolowana i elegancko zrealizowana *Fantazja C-dur* Schuberta, o żelaznej logice i konsekwentna w formie. Była to monumentalna interpretacja, w której sama „technika", jak rzadko kiedy, stała się jedynie środkiem do osiągniecia muzycznego celu, a nie pokazem „jak prędko i głośno potrafię grać". Jedno z najlepszych wykonań, pod którym bym się z chęcią podpisał.

Czy jej Chopin należał do najbardziej wyrafinowanych czy subtelnych? Jeśli nawet nie, to dominowała w nim wspomniana już logika i szczerość. Jej szeroko zarysowana koncepcja *Poloneza-Fantazji* przekonała mnie bardziej niż to, co pamiętałem z finałów Konkursu (może nie być aż tak miarodajne…). Kończę słowami, którymi rozpocząłem: osobiście znajduję w jej nierzucającej się w uszy, nobliwych i muzykalnych interpretacjach podobieństwo z Arturem Rubinsteinem, który uważany był za najnormalniejszego wśród wielkich pianistów.

Do stałych gości Festiwalu od lat należy **Alexander Gavrylyuk**, w wieku 42 lat weteran nie tylko tej imprezy, ale estrad koncertowych całego świata. O jego recitalach dusznickich, gdy był jeszcze nastolatkiem, do dziś krążą legendy. Niezwykła, serdeczna osobowość, wspaniały pedagog (podobnie jak jego kolega Kobrin) i absorbujący artysta, który podczas koncertów daje z siebie wszystko, choć to częstokroć staje się problemem. Tegoroczny recital w pierwszej części poświęcił wielokrotnie już wykonywanej, również w Dusznikach, *Sonaty C-dur* K.330 W.A. Mozarta, *Fantazji f-moll* op. 49 Chopina oraz *Tarantelli* Liszta, pochodzącej z tryptyku Venezia e Napoli. Drugą część w całości wypełniło dzieło Mussorgskiego *Obrazki z wystawy* oraz jak zawsze liczne bisy.

Jego Mozart był filigranowy, precyzyjny, delikatny i nieco operowo manieryczny, ale wciąż na swój sposób atrakcyjny w swojej wirtuozerii, podobnie jak kiedyś Mozart Vladimira Horowitza, daleki od modeli, na jakich kształcą się młodzi pianiści.

Fantazja Chopina w swojej burzliwej narracji eksplodowała i odczuwałem, że jest ledwie na granicy kontroli emocji wykonawcy, jednym słowem „dawny Gavrylyuk". Rozwichrzona interpretacja, jeśli kiedykolwiek podobną słyszałem. Tego samego można było oczekiwać od *Tarantelli* Liszta, w której błyskotliwa wirtuozeria przeplatała się z lirycznem i śpiewnością części środkowej. Jeśli nawet element wirtuozerii, fajerwerków, technicznych pokazów dominował, to nie da się zaprzeczyć, że robiło to wielkie wrażenie.

Obrazki… rozpoczęły się nawet dość powściągliwie, jak gdyby ktoś na tę wystawę wkraczał zamyślony i wyszukiwał obiektu swojego zainteresowania: pianista konfrontował nas z momentami beztroskimi (Tuileries), humorystycznymi (*Limoges* i genialny *Balet piskląt w skorupkach*), mrocznym i potężnym brzmieniem *Bydła* nostalgią *Starego zamku,* grobowym zapachem *Katakumb* oraz *Z umarłymi w martwym języku*) – a wszystko to oglądane podczas *Promenady. Wielka Brama* jawiła się, jako wiekopomna konstrukcja, symbol dawnej potęgi.

To powiedziawszy, „dawny", nieposkromiony Gavrylyuk odzyskał stery i na słuchaczy Dworku Chopinowskiego, jak to bywa podczas jego recitali spadła akustyczna nawałnica**.** Nie po raz pierwszy nasz pianista zapomniał, że ta sala nie mieści 3.000 słuchaczy i że w fortepian nie można walić z taką samą siłą jak podczas recitalu w Royal Albert Hall. Artysta w swojej dynamice oscylował więc pomiędzy jedwabistym uderzeniem w Mozarcie czy zagranym na bis *Traumerei* ze *Scen dziecięcych* Roberta Schumann, a ogłuszającą momentami agresją finału *Precipitato* z *VII Sonaty B-dur* op. 83 Prokofiewa, wykonaniem które mogło ekscytować, ale w którym orgia nie była zarezerwowana na ostatnią stronę. Upragnione ukojenie po tym frontalnym ataku przyniósł ostatni, łapiąca za serce *Etiuda cis-moll* op. 2 nr 1 Skriabina.

„Lots of fun", czyli dobra zabawa

Obok braci Jussen – bracia **Lee**, zamieszkali dziś w Polsce koreańscy bracia: starszy **Hyuk** i o kilka lat młodszy **Hyo** tworzą dziś jeden z najbardziej interesujących młodych duetów pianistycznych. Każdy z nich to doskonały, charyzmatyczny solista o absurdalnej wręcz objętości i wszechstronności talentu i wyjątkowej osobowości: kiedy razem pojawiają się na estradzie, emanuje z nich rzadko odczuwalna radość gry i energia, podparta braterską więzią. Wydało mi się dobrą ideą aby każdego z nich przedstawić w recitalu solową kompozycją Chopina: Hyuk zaoferował nam dojrzałe wykonanie *Fantazji f-moll*, zaś Hyo błyskotliwe *Scherzo E-dur*. Nie wydaje mi się, iż ktokolwiek wątpił w ich solistyczne umiejętności, ale idea wciąż doskonała.

Zacznijmy może od tego, że bracia Lee cały swój repertuar wykonują z pamięci i jest to niebagatelnym osiągnięciem. Jakakolwiek wpadka pamięciowa mogłaby wykoleić całą kompozycję, ale nie wykluczam, że oni – w swoim młodzieńczym żywiole – tej opcji nie biorą nawet pod uwagę. Jak również grania fałszywych nut.

Od bardzo dawna nie słyszałem – i być może pierwszy raz na żywo – fantazji Percy Graingera na tematy z opery Gershwina *Porgy and Bess*. W tej blisko 20-minutowej aranżacji australijski wirtuoz i kompozytor sięga po cały szereg tematów, włączając wśród nie te najsłynniejsze wraz z uwerturą i atrakcyjnie układa z nich całość, która daje pole do popisu obu pianistom i detalicznie prezentuje harmoniczny język oryginału. Czy miałem pewność, że nasi młodzi artyści znali słowa do poszczególnych piosenek i naturalny styl ich języka? Być może nie, ale to wciąż nie odbierało radości w słuchaniu ulubionych fragmentów z najpopularniejszej amerykańskiej opery.

Nie mniej atrakcyjną pozycją było *Sześć Tańców Karaibskich* (*Six Carribean Dances*) Artura Benjamina (1873–1960), z których największą popularność zyskała rumba. Beztroska, promienna, frenetyczna i eksplodująca energią seria inspirowanych lokalnymi tańcami utworami: pod niezawodnymi palcami braci Lee, dostarczyło nam kolejnej porcji uśmiechu.

Najlepiej znanym i najpoważniejszym dziełem w programie były *Tańce symfoniczne* op. 45 Sergiusza Rachmaninowa, jego ostatnie dzieło istniejące w równie popularnej wersji orkiestrowej. Każda z wersji posiada swoje atuty, choć nie wierzę, iż nawet najlepszy zestaw 20 palców u dwojga pianistów skompensuje szczególną barwę orkiestry, w której Rachmaninow sięga nawet po skądinąd obcy dla niego saksofon.

Wciąż, werwa i energia rytmiczna dominowały pierwszą część, w drugiej, która jest zawoalowanym nostalgicznym walcem element utęsknienia i optymizmu był tym elementem wiodącym. W trzeciej, najbardziej gęstej, symfonicznej, pesymizm i natrętny motyw *Dies Irae*, motyw śmierci, tylokrotnie powtarzany w kompozycjach Rachmaninowa, nie dostarczają słuchaczom wiele uśmiechu. Ale była to imponująca pianistyka, pełna blasku i niuansów, elegancji, perlistości i zwiewności: gra, która musiała budzić entuzjazm. Bisy obdarzyły nas kolejnymi przykładami blasku i iskierek spod niezawodnych koreańskich palców: pierwszym było *Liebertango* Piazzoli, drugim znany mi ze słyszenia cyrkowy kawałek o latynoskiej proweniencji. Wychodziliśmy z Dworku z uczuciem satysfakcji i uśmiechem na ustach.

Roman Markowicz, Nowy Jork

Jerzy Biernacki

Porozmawiajmy o Żydach

W ciągu ostatnich dwóch lat ukazały się trzy książki poświęcone Żydom i stosunkom polsko-żydowskim. Wojciech Sumliński, Ewa Kurek – *Porozmawiajmy o Żydach*, Rajmund S. Dybczyński – *Krótki traktat o istocie konfliktów polsko-żydowskich* i *Św. Maksymilian Maria Kolbe o masonerii i Żydach. Pisma wybrane* pod red. dr. Stanisława Krajskiego. Są to książki szczególnie interesujące przez to, że bez osłonek mówią gorzkie prawdy może nie o wszystkich Żydach, ale o elicie tego narodu i o tym, jak niezmiennie wrogi był i jak ta wrogość wzrosła w naszych czasach ich stosunek do Polski i Polaków. Co jest o tyle trudne do zrozumienia, że Żydzi, na przełomie średniowiecza i renesansu, a także później, prześladowani we wszystkich krajach europejskich (zapewne nie bez powodu) i wypędzani z nich bezwzględnie, znaleźli w ogromnej większości swoje miejsce spoczynku i daleko posuniętą tolerancję właśnie w Polsce i u Polaków. Dlatego nazwali Polskę Polin, czyli miejsce spoczynku i określili ją, jako *Paradisus Iudaeorum*, czyli Raj Żydów.

Pani dr Ewa Kurek podkreśliła przy tym, że Żydzi trafiali do Polski najpierw w XIII i XIV wieku (nie licząc pojawiających się wcześniej żydowskich handlarzy niewolnikami), w momencie, gdy jako zdolni kupcy, bankierzy i finansiści byli Polakom bardzo potrzebni, szczególnie za panowania Kazimierza Wielkiego, który wydał kilka edyktów zapewniających żydowskim przybyszom wyjątkowe przywileje. Przy tym demaskuje sławetną legendę o Esterce, żydowskiej kochance króla, nazywanej przez Żydów ich królową, uznając za najbardziej prawdopodobne, że w ogóle taka postać nie istniała, a Żydzi skontaminowali jej legendę z biblijną opowieścią o Esterze, zapewne równie legendarnej.

Ten wzgląd ekonomiczny – bo szlachta przecież nie mogła handlować, gdyż zajmujący się handlem szlachcic od razu przestawał być rycerzem, jest ważny, Polska ówczesna bowiem, dzięki zaprowadzonej przez przybyłych do Polski cystersów trójpolówce, posiadała niemałą nadwyżkę płodów rolnych, a szczególnie zbóż, które bardzo były potrzebne głodującej wręcz zachodniej Europie. I Żydzi zajęli się owym eksportem zboża na rosnącą z roku na rok skalę, via Gdańsk, gdzie przybywały dziesiątki statków zapewniających transport owych zbóż do zachodnich krajów europejskich. To, że Żydzi byli Polakom potrzebni, nie zaprzecza fenomenowi polskiej tolerancji, nie bez kozery polski historyk żydowskiego pochodzenia, jak się zdaje, niezbyt kochający Polaków, prof. Janusz Tazbir nazwał Rzeczpospolitą Obojga Narodów (w rzeczywistości wielu narodów) **państwem bez stosów**, w czasie, gdy heretycy masowo byli paleni w zachodniej Europie przez inkwizycję katolicką, niestety, ale dziesięciokrotnie więcej przez szwajcarskich kalwinów i innych różnowierców, którzy jako neofici wyróżniali się swoistym fanatyzmem, nie tolerując odstępstw i odstępców.

Tymczasem Żydzi, co było niezwykle charakterystyczne, w przeciwieństwie do innych przybyszów cudzoziemskich, w ogóle nie asymilowali się (nieliczne asymilacje i konwersje na katolicyzm następowały dopiero w czasach nowożytnych, w XIX i XX stuleciu, nie licząc kilku tysięcy Frankistów, tak nazywanych od nazwiska ich przywódcy, Jakuba Franka w XVIII w. Żyli oni zupełnie osobno, mieli własne gminy – kahały, własne prawo i nawet sądy, nie przyjmowali ani polskiej kultury, ani polskiego obyczaju, nie mówili polskim językiem, a jeśli tak to niemiłosiernie go kaleczą.

Mieli przede wszystkim własną religię, wiarę w jednego Boga Jahwe, który w prehistorii wyprowadził ich z niewoli egipskiej, uważali, że są narodem wybranym, wybranym przez Boga, a więc całkowicie wyjątkowym i nie uwierzyli, że Jezus Chrystus był tym Mesjaszem, na którego czekali i czekają do dzisiaj, ukrzyżowali Go i stali się wrogami chrześcijaństwa, a szczególnie katolicyzmu, w którym czci się Boga w Trójcy św. Jedynego, Jezusa Chrystusa, Syna jego jednorodzonego, zrodzonego przed wiekami i Ducha Świętego, który od Ojca i Syna pochodzi, Parakleta i Pocieszyciela. A Polacy byli po większej części katolikami, słowa **Polak-katolik** zrosły się w jedną jednostkę znaczeniową języka polskiego. Nie mogli być więc braćmi Żydów, nie byli nawet bliźnimi, tylko gojami, mającymi wg nich w sobie rys bydlęcy.

***

Porozmawiajmy o Żydach – książka pisana piórem Sumlińskiego, który jest prawdopodobnie najwybitniejszym dziennikarzem śledczym w Polsce, autorem wielu książek, wśród nich tej o ks. Jerzym Popiełuszce, zamordowanym przez pracowników Służby Bezpieczeństwa; jest to dzieło nowatorskie, z wieloma odkryciami i wątkami, które w ogóle nie były obecne w procesie toruńskim, z nader prawdopodobną poszlaką, że to nie ci, którzy byli sądzeni w Toruniu, rzeczywiście zamordowali księdza Jerzego… Jest on również tym dziennikarzem śledczym, który odnalazł, zdaje się, pięciu świadków ludobójczej zbrodni na Żydach w Jedwabnem, dokonanej przez Niemców, o co Tomasz Gross oskarżył polskich sąsiadów żydowskich ofiar, opierając się na „świadkach", których w owym czasie, w lipcu 1941 roku, w ogóle w Jedwabnem nie było, albo ukrywali się na peryferiach miasteczka, skąd niczego nie mogli widzieć. Sumliński nakręcił film dokumentalny *Powrót do Jedwabnego*, który mówi prawdę o tej potwornej zbrodni przez spalenie kilkuset (bo przecież nie 1600 w jednej stodole) żydowskich mieszkańców Jedwabnego, co było jak wiemy specjalnością niemieckich sonderkommando, zwłaszcza na Podlasiu, ale nie tylko. Nieszczęście polega na tym, że na Zachodzie Europy i w Ameryce (także na uniwersytetach) uznawana za prawdziwą jest tylko narracja Grossa, chociaż gołym okiem widać, jakie horrendalne błędy popełnił, z punktu widzenia standardów obowiązujących badacza historii. A książki-kontry przeciw Grossowi, takie jak *Po Zagładzie* Marka Chodakiewicza nie są w ogóle brane pod uwagę, chociaż mówią prawdę. Ale może właśnie dlatego?!

Jak zaświadcza zablokowanie ekshumacji, gdy tylko na miejscu wykryto kilka niemieckich łusek od pocisków karabinowych i pocisków rewolwerowych (niemieckiego parabellum) – dowodziły one prawdy o tym, że zbrodnia była niemiecka, a nie polska, prawdy niebezpiecznej jak odbezpieczony granat, trzeba było więc natychmiast przerwać i zabronić ekshumacji w miejscu zbrodni, pod całkiem nieprawdziwym pretekstem; ekshumacje przerwano w 2001 r. decyzją ówczesnego ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Lecha Kaczyńskiego. Sumliński wraz ze świadkami – co było niezwykle skomplikowane – doprowadził też do powstania pomnika, z tablicami opisującymi tę zbrodnię w wykonaniu Niemców, pięćdziesiąt metrów od fałszywego kamienia, mówiącego nieprawdę o rzekomo polskiej zbrodni na żydowskich sąsiadach.

Sumliński w wielu miejscach prowadzi dialog z dr Ewą Kurek, wybitną specjalistką w dziedzinie historii stosunków polsko-żydowskich i znawczynią charakteru izraelitów, przy czym nawet jego, doświadczonego badacza tych spraw niektóre stwierdzenia pani doktor wprawiają w zdumienie. Mówi ona miedzy innymi o tym, że osiadłych w Polsce Żydów nigdy nie interesowały sprawy polskie, wojny obronne toczone przez polskie rycerstwo, ani w ogóle los Rzeczypospolitej. Gdy nastąpił rozbiór Polski i Austriacy weszli do Galicji, to galicyjscy Żydzi natychmiast złożyli hołd Marii Teresie, tak jakby była królem Polski. Pani dr Kurek oblicza, że w naszych powstaniach, począwszy od Insurekcji Kościuszkowskiej, a na Powstaniu Styczniowym kończąc po polskiej stronie stanęło do walki najwyżej 2 procent Żydów. Tu następuje rzewna historia Berka Joselewicza i Józefa Aronowicza, którzy zgłosili się do Kościuszki, z wolą udziału w walce i stworzenia oddziału żydowskiego, którego liczebność osiągnęła zdaje się zawrotną wielkość…raptem stu ludzi. Berek Joselewicz, osiągnąwszy rangę pułkownika, po upadku Insurekcji udał się ze swymi żołnierzami do Włoch i wstąpił do legionów Dąbrowskiego, który przyjął go z wielką radością. To zdarzenie (z Joselewiczem i Aronowiczem) skłoniło Tadeusza Kościuszkę do napisania idealistycznego listu, pełnego zachwytu nad tymi ludźmi, tak jakby wszyscy Żydzi przystąpili do Insurekcji. „Berek Joselewicz poległ 5 maja 1809 roku w bitwie z Austriakami pod Kockiem" (s. 123) – kończy pani Ewa tę opowieść.

Książka obojga autorów wydaje się opowieścią o zaciskającej się na Polsce pętli roszczeń żydowskich, o czym jeszcze będzie mowa. Pani Ewa opowiada o tym, jak to ci sami Żydzi, tak obojętni na los Polski, gdy tylko zaświtała realna nadzieja na odzyskanie niepodległości, zażądali dla siebie połowy kraju. Kiedy Naczelnik Państwa polskiego, Józef Piłsudski, nie bez wzruszenia, ogłosił otwarcie Sejmu (który później zresztą znienawidził), okazało się, że spośród pięciu partii żydowskich trzy zdołały razem zdobyć dziesięć mandatów i przedstawiciele tych partii zażądali dla Żydów autonomii i ni mniej ni więcej tylko połowy Polski. Żądanie to było tak bezczelne, że wywołało powszechne oburzenie i sprawie natychmiast ukręcono łeb. Można było przez wieki znosić obojętność Żydów na polski los, ale nie takie (czy inne) uroszczenia.

Coś się stało przełomowego, wraz z pojawieniem się socjalizmu i komunizmu, do których Żydzi w większości od razu przylgnęli i stali się jeszcze większymi wrogami Polski. Dr Ewa Kurek opisuje to szczegółowo, brak mi na to miejsca. Ta wrogość po Holokauście i po założeniu państwa Izrael (z pomocą gen. Andersa, który nie ścigał trzech tysięcy żydowskich dezerterów do Izraela) na palestyńskiej ziemi jeszcze wzrosła. Dopóki ważny głos w Izraelu mieli polscy Żydzi, jeszcze było jako tako, chociaż już wtedy zaczęło się, szczególnie ze stronu Instytutu Yad Vashem, oskarżanie Polaków o współudział w Holokauście, który dla Żydów stał się z jednej strony swoistą religią (nie liczyły się żadne inne ofiary, tylko ofiary żydowskiej Zagłady), a z drugie strony – jak przystało na mistrzów spod znaku Merkurego – powstało „przedsiębiorstwo Holokaust", jak to określił uczciwy historyk żydowski z USA, Norman Finkelstein, którego to przedsiębiorstwa zadaniem jest wyciągnąć jak najwięcej pieniędzy z krajów Europy wschodniej (w tym przede wszystkim z Polski), przedtem oskarżywszy te narody jako nazistowskie lub współpracujące z hitlerowskimi Niemcami przy Zagładzie Żydów. I to się dzieje na coraz większą skalę. Pętla się zaciska. Zwłaszcza od czasu, gdy polscy Żydzi w Izraelu pomarli i zostali zastąpieni milionem Żydów, którzy przyjechali ze Związku Sowieckiego, bardzo zruszczeni, a wśród nich być może pewna liczba etnicznych Rosjan korzystających z tej okazji, by wyrwać się z „nieludzkiej ziemi."

Chodzi szczególnie o nieruchomości i ziemię oraz inne majętności, czyli tzw. mienie bezspadkowe. Wedle prawa międzynarodowego takie mienie bezspadkowe (tzn. nie mające spadkobierców) powinno być przejmowane przez państwo, w którym ono się znajduje. Żydzi amerykańscy, szczególnie skupieni w różnego rodzaju organizacjach zajmujących się holokaustem, mając nadzieje, że to mienie albo odszkodowanie za nie przypadnie tym organizacjom, dążyło i dąży do tego, by owe prawo zmienić, na zasadzie wyjątku, bo wyjątkowa i jedyna była zagłada Żydów. Wedle pani „profesor" Engelking (muszę dać ten cudzysłów, gdyż osoba oszukująca w pracy badawczej, zmieniająca treść dokumentów lub zeznań świadków poprzez manipulację nimi, nie zasługuje na ten tytuł, a takie oszustwa i manipulacje zostały jej udowodnione przez doktora Piotra Gontarczyka) śmierć Żyda to wielka metafizyka, zaś śmierć goja, to jak śmierć świni, czy innego zwierzęcia. Goj nie może być też, wedle p. „profesor" wiarygodnym świadkiem, może być i jest nim jedynie świadek żydowski. Polski historyk wedle tej pani to nacjonalista, w sprawach żydowskich nie jest wiarygodny itd., itp.

Promulgowana w Kongresie amerykańskim ustawa 447 w jakiejś mierze spełnia oczekiwania Żydów – Kongres i Departament Stanu USA uznały Deklarację Terezińską za element systemu prawa międzynarodowego, a tam właśnie w tej Deklaracji roszczenia tego rodzaju uznano za dopuszczalne, wbrew obowiązującemu prawu. Czasu jest coraz mniej. Były premier Izraela, Jair Lapid zapowiedział, że jeśli Polacy nie zapła-

cą „(…) będą mieli wyciągnięte konsekwencje w zakresie handlu, w zakresie stosunków dyplomatycznych, w każdym rodzaju relacji, jakie istnieją z Polską.” (s. 258) Zagrożeniem jest także bierność i kłamstwa polskich elit politycznych, które bezpodstawnie jedynie uspokajają, że nic takiego się nie wydarzy.

Książka rozgrywająca się na 269 stronicach jest oczywiście nieporównanie bogatsza, niż to co o niej napisałem. Chodziło mi przede wszystkim o omówienie głównego nurtu, co mam nadzieję mi się powiodło. W książce są dziesiątki anegdot, rozmaitych detali, demaskowanie różnych żydowskich kłamstw, na przykład o Powstaniu Warszawskim (na Zachodzie go nie ma w ogóle, jest tylko powstanie w getcie warszawskim z 1943 roku), prostowanie kłamstw żydowskich o tym, że Polacy mogli uratować więcej Żydów, jak Duńczycy, u których właściwie okupacji niemieckiej nie było, działał parlament i rząd (jedynie bez polityki zagranicznej), podczas gdy w Polsce zwykłe wyjście do sklepu mogło zakończyć się śmiercią przez rozstrzelanie, a przychwycenie przez Niemców Polaka pomagającego Żydom kończyło się śmiercią całej rodziny, nierzadko w płomieniach, tak jak to było z rodziną Ulmów czy z rodziną Kowalskich.

Świetna, mądra, ważna książka, oczywiście z żydowskiego punktu widzenia antysemicka. Dlaczego – bo mówi tylko prawdę, opiera się na faktach i na własnych wypowiedziach prominentnych Żydów. Żadnych inwektyw, mało przymiotników, konkrety, jasne i niepodważalne. Ale klątwa antysemityzmu jest wiecznotrwała i wciąż skuteczna. Myślę, że zwłaszcza w Polsce.

***

Krótki traktat o istocie konfliktów polsko-żydowskich Rajmunda Dybczyńskiego, wybitnego uczonego w dziedzinie chemii nuklearnej, członka wielu towarzystw naukowych, ale zainteresowanego także zagadnieniami humanistycznymi i kulturą – na zaledwie 118 stronicach porusza niemal wszystkie te same problemy, które przedstawili Sumliński i Ewa Kurek w wyżej omówionej książce. I czyni to – w takim skondensowaniu – nie gorzej niż oni, a czasami nawet ciekawiej i nadzwyczaj rzetelnie. Jest więc pewną niesprawiedliwością, że na omówienie *Traktatu* zostawiłem sobie tak mało miejsca, ale trudno, stało się. Założenie było takie, że *Porozmawiajmy o Żydach* miało być i jest główną pozycją do omówienia, a te dwie pozostałe prace – znacznie skromniejsze objętościowo – swoistymi dodatkami.

Tymczasem Dybczyński, autor 200 publikacji naukowych i współautor pięciu książek – z właściwą uczonemu rzetelnością, językiem dyskursu omawia w określonym porządku kolejne zagadnienia: Atak na język – odwracanie znaczenia pojęć, Żydzi a Polska i podpunkty: historia – początki państwa i I Rzeczpospolita, czasy rozbiorów, Żydzi w II Rzeczypospolitej, czas okupacji niemieckiej (zbrodnie Judenrathów i policji żydowskiej), Żydzi w PRL i III RP. (Żydokomuna i jej zbrodnie), historia – chlubne wyjątki (Berek Joselewicz, Marian Hemar – Polak ochotniczy i in.), a następnie: Rola Żydów w niszczeniu polskiej świadomości narodowej i moralności, Sprawa Jedwabnego – największe antypolskie kłamstwo Żydów-rasistów, wreszcie Żydzi a świat i podpunkty: Judaizm rabiniczny, Syjonizm, Religia Holokaustu (i „przedsiębiorstwo Holokaust” w ujęciu Normana Finkelsteina, o którym autor też pamiętał).

W pewnym sensie jednak autor zrobił więcej, gdyż podsumował to wszystko stwierdzeniem, że gros Żydów (zwłaszcza elity, osoby życia publicznego) to… rasiści. Izraelici nie są rasą w znaczeniu naukowym, należą do rasy białych ludzi, ale opierając się na tym, że zostali ludem wybranym przez Boga, doszli do wniosku, iż są tak wyjątkowi, że należy im się władza nad światem, wszystkich innych określili mianem gojów, zbliżonych w swej wartości do zwierząt (a szczególnie wzięli na kieł Słowian, w tym Polaków). Wedle Talmudu, swoistej przeróbki Tory z istotnymi uzupełnieniami, Żyd może goja okraść, skrzywdzić a nawet zabić bezkarnie i powinno to być mu policzone za zasługę. Autor ów żydowski rasizm na początku książki postawił jako tezę wstępną, po czym ją w treści książki niezawodnie udowodnił.

Drugim wynalazkiem autora, bezcennym w moim rozumieniu, jest nazwanie „prlowskich” wykształceńców, w tym owych celebrytów, oskarżających polską Straż Graniczną o zbrodnie na przychodźcach, nielegalnie próbujących przekroczyć polsko-białoruską granicę – **motłochem inteligenckim.** Zaiste, trafił w dziesiątkę, mimo że słowo motłoch to tłum, ale jak się ich wszystkich razem połączy (a PRL wyprodukował milion magistrów), to będzie właśnie tłum, inteligencki motłoch. Dybczyński przypomina też tzw. „greiferów” to jest żydowskich agentów gestapo: wyłapywali oni ukrywających się Żydów, przyprowadzali ich do gestapo, w efekcie ci ginęli rozstrzeliwani razem z całą rodziną tych, którzy ich ukrywali. Perfidna, zbrodnicza robota.

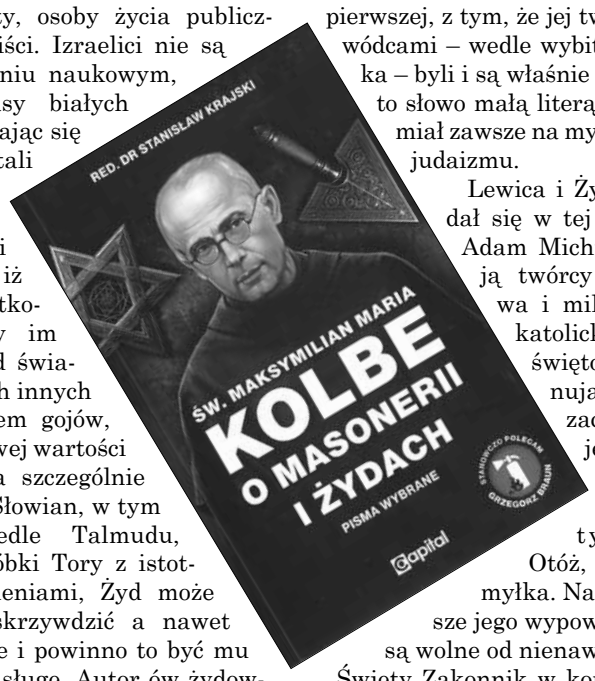

***

Książeczka będąca wyborem cytatów o masonerii i żydach z pism św. o. Maksymiliana Marii Kolbego głównie jest o tej pierwszej, z tym, że jej twórcami i przywódcami – wedle wybitnego Zakonnika – byli i są właśnie żydzi. Tu piszę to słowo małą literą, gdyż o. Kolbe miał zawsze na myśli wyznawców judaizmu.

Lewica i Żydzi (wypowiadał się w tej sprawie m.in. Adam Michnik) odmawiają twórcy Niepokalanowa i milionowej prasy katolickiej prawa do świętości i kwestionują jego kanonizację, z powodu jego rzekomego – jakże by inaczej – antysemityzmu. Otóż, całkowita pomyłka. Nawet najostrzejsze jego wypowiedzi o Żydach są wolne od nienawiści, gdyż nasz Święty Zakonnik w konkluzji zawsze namawiał wszystkich, by za nich modlić się, żeby ich nawracać i doprowadzać do tego, by stawali się czcicielami Najświętszej Marii Panny, którą uważał za Przywódczynię naszego pielgrzymowania na ziemi.

Dwie uwagi: oskarżenie Józefa Piłsudskiego o bycie masonem jest nonsensem, znana szeroko jest jego wypowiedź w tej sprawie, mówiąca, że ma taki charakter, iż nie mógłby się poddać jakiejś tajemniczej władzy nieznanych mu ludzi. Marszałek był naprawdę człowiekiem niezależnym i suwerennym. I uwaga druga: o. Maksymilian kilkakrotnie cytuje *Protokoły mędrców Syjonu*, najwyraźniej nie wiedząc, że jest to dzieło carskiej Ochrany. Zabrakło stosownego komentarza do obu spraw redaktora całości, dr. Stanisława Krajskiego.

Jerzy Biernacki

Wystawa retrospektywna prof. Andrzeja Gieragi

W Galerii Kobro Akademii Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego w Łodzi, w programie inauguracji roku akademickiego 2026/2027 byl wernisaż wystawy prof. Andrzeja Gieragi – Wystawa retrospektywna, okres jej trwania 8 X – 13 XI 2026. Nie jest to wystawa podsumowująca twórczość Gieragi, ale kolejna w ostatnim czasie i duża prezentacja, w akademii zrealizowana przez prof. Małgorzatę Dobrzyniecką-Kojder (kuratorkę wystawy), Bogusława Deptułę (aranżacje), Izabelę Jurczyk (autorkę identyfikacji wizualnej wystawy). Duża liczba dzieł pochodzi ze zbiorów galerii MIA Art Gallery z Wrocławia, której szefowa Magdalena Mielnicka obecna była na wernisażu.

Artysta (rocznik 1934), emerytowany profesor ASP, jest wciąż czynnym malarzem, jego obrazy osiągają coraz większe ceny. W Galerii Kobro zaprezentowano głównie obrazy, trochę grafiki, jedną tkaninę i rzeźbę Profesora, są prace młodzieńcze i współczesne, obiekty prezentują jego wszechstronność twórczą. Brak wielkoformatowych obrazów kompozycji z lat 80. Jest rzeźba przedstawiająca głowę Władysława Strzemińskiego, wykonana w gipsie w pocz. XXI w., na konkurs w ASP. Zaskoczeniem jest tkanina artystyczna, gobelin. Tkaniną artysta zajmował się krótko, w czasie studiów i tuż po nich, ale wiele jego prac tkackich znajduje się w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi. Na finisaż zapowiedziano duży katalog wystawy. *Red.*

Jubileusz Profesora Andrzeja Jasińskiego

90. urodziny obchodzi prof. Andrzej Jasiński, ur. 23 X 1936 r., i tego dnia, tj. 23 października 2026 w Sali Koncertowej Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach, władze uczelni i grono przyjaciół Profesora zorganizowało uroczysty jubileusz. Nasi czytelnicy zapewne doskonale znają Profesora z Jego wieloletniej aktywności jako pianisty i pedagoga, a macierzysta uczelnia Profesora to właśnie Akademia Muzyczna w Katowicach. Pan Profesor bywał i uczestniczył – dziś mniej, choć nadal podróżuje – w wielu koncertach, konkursach i festiwalach w kraju i na świecie. Z tych ostatnich gościł na Rubinstein Piano Festivalach w Łodzi, prowadził na nich kursy mistrzowskie, spotykał się i rozmawiał z młodymi pianistami, z córkami Artura Rubinsteina i innymi gośćmi – czyli wspierał festiwal. Zatem nie mogliśmy nie być na Jego urodzinach, a osobne życzenia przysłała zaprzyjaźniona z Profesorem p. Ewa Rubinstein!

Jubileusz organizacyjnie przygotowali właściwie wychowankowie Profesora, pianiści, dziś także profesorowie i pedagodzy, tj. Beata Bilińska i Zbigniew Raubo, wspierała ich córka p. Profesora Alina i zapewne grono innych życzliwych osób. Obecne były władze katowickiej akademii, przyjechali przyjaciele i delegacje uczelni i szkół muzycznych z wielu miast, jako jedni z pierwszych życzenia na scenie składali i bukiety kwiatów oraz prezenty wręczali jubilatowi i koledze prof. prof. Bronisława Kawalla (Towarzystwo im. F. Chopina) i Piotr Paleczny z Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie. W drugiej części uroczystości wystąpiło ośmiu wychowanków Jubilata, zasiadali kolejno do fortepianu wykonując krótkie programy.

Uroczystość prowadzili Róża Światczyńska i Zbigniew Raubo, co też oklaskiwał piszący tę miłą relację Wojciech Stanisław Grochowalski – tu jako dyrektor Rubinstein Piano Festivalu. ■

Ewa Rubinstein i prof. Andrzej Jasiński na VII Rubinstein Piano Festivalu w Łodzi, Teatr Wielki, 24 X 2022, fot. Joanna Miklaszewska

Tomasz Kiejdo

W dziewięćdziesiątą rocznicę śmierci Ferdynanda Ruszczyca

Ferdynand Ruszczyc, którego w październiku 2026 roku przypada dziewięćdziesiąta rocznica śmierci wniósł w zasób polskiej kultury niebagatelny wkład. Ten wybitny malarz, scenograf, grafik, ale także profesor i dziekan Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie spoczął po śmierci w rodzinnym Bohdanowie na Oszmiańszczyźnie.

Urodził się 10 grudnia 1870 roku w Bohdanowie na Oszmiańszczyźnie, w majątku należącym do rodziny od 1836 roku. Był synem Edwarda Justyna, kapitana dymisjonowanego Kaporskiego Pułku Piechoty im. Jego Królewskiej Wysokości Następcy Tronu Saskiego i Anny Małgorzaty Alwiny z Munchów (Dunki z pochodzenia) Ruszczyców.

W latach 1883–1890 kształcił się w gimnazjum klasycznym w Mińsku, pobierał wówczas także lekcje rysunków. Szkołę ukończył ze złotym medalem. W 1890 roku wstąpił na wydział prawny Uniwersytetu w Petersburgu, ale po dwóch latach zrezygnował ze studiów prawniczych i podjął edukację na Akademii Sztuk Pięknych. Trafił pod opiekę znakomitych rosyjskich pejzażystów Iwana Szyszkina oraz Archipa Kuindżiego. W 1894 i 1895 roku odbył podróże studyjne na Krym, a w kolejnych latach odwiedził również Danię, Szwecję i Niemcy. W początkach listopada 1897 roku otrzymał tytuł artysty oraz dyplom ukończenia Akademii. Na wystawie konkursowej przedstawił kilka obrazów. Największe uznanie uzyskała praca pt. „Wiosna", którą nabył do założonej przez siebie Galerii Tretiakowskiej Paweł Tretiakow rosyjski przedsiębiorca oraz mecenas i kolekcjoner sztuki.

W rodzinnym Bohdanowie. „Ziemia" i „Nec mergitur"

Po ukończeniu Akademii osiadł w rodzinnym Bohdanowie. Malarz urządził pracownię w murowanym domu „Murze". W okresie tym powstawały najlepsze prace Ruszczyca, a motywy ziemi rodzinnej stanowiły główne źródło inspiracji. Artysta czerpał z otaczającej go rzeczywistości i przenosił ją na płótno, bo przecież „piękno jest wszędzie…". Poznawał okolice i jej historyczne zabytki m.in. zamek w Krewie. Zapoznał się z „Powiatem Oszmiańskim" dziełem Czesława Jankowskiego, do którego zresztą w tomie pierwszym przygotował ilustracje. Z pochodzącym spod oszmiańskich Polan Jankowskim połączył go stały kontakt. Zaczytywał się Mickiewiczem i Słowackim. Wielkim szacunkiem darzył Henryka Sienkiewicza.

Mieszkając w Bohdanowie artysta wciąż miał żywy kontakt z Petersburgiem. W roku 1898 wystawił swe prace na „Wiosennej Wystawie" w Akademii. Jego obraz „Młyn zimą" zakupił kolejny rosyjski kolekcjoner i przedsiębiorca Sawwa Morozow. Dzięki temu, w tym samym roku odwiedził Niemcy, Szwajcarię, Włochy, Francję, Belgię i Austrię. Szczególne wrażenie zrobiła na nim wystawa obrazów Clauda Moneta w Paryżu.

W latach 1889–1901 uczestniczył również w wystawach „Mir Iskusstwa" (Petersburg). W 1902 roku w ramach tej ostatniej przedstawił swe obrazy w Mo-

Ferdynand Ruszczyc (1870–1936)

skwie. W Wilnie po raz pierwszy wystawiał w 1899 roku.

W Bohdanowie powstawały więc znakomite, symboliczne dzieła. To w 1898 namalował tam jedno z najważniejszych – „Ziemia". Obraz przedstawiający scenę orki, zmaganie człowieka z naturą, nad którą kłębią się masy chmur. Eligiusz Niewiadomski napisał, że „ze zwykłej sceny orki zrobił Ruszczyc wspaniały symboliczny dramat" (Red. Janina Ruszczycówna, *Ferdynand Ruszczyc 1870–1936. Pamiętnik wystawy*, Warszawa 1966, Muzeum Narodowe w Warszawie, s. 73). „Ziemia" stanowiła odniesienie dla innych twórców. Jan Bułhak sfotografował miejsce, które było motywem dla obrazu Ruszczyca. Andrzej Wajda wprowadził scenę do filmu „Popiół i diament", a dla Antoniego Gołubiewa „Ziemia" stanowiła jeden z najważniejszych motywów powstania wspaniałego cyklu powieści piastowskich „Bolesław Chrobry". Twórca wystawiał obraz w Petersburgu i w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych Warszawie, gdzie został przyjęty z uznaniem. Współcześnie znajduje się w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie.

Innym wybitnym dziełem jest namalowany w latach 1904–1905 „Nec mergitur". Przedstawia baśniowy, samotny okręt na wzburzonym morzu. Okręt interpretowano jako symboliczne przedstawienie losów Polski. Losów trudnych, bo przecież Polski wciąż pod zaborami, otoczonej wrogimi sąsiadami. Taka interpretacja miała swoje podstawy, ponieważ początkowo autor dał dla swojego obrazu tytuł „Legenda Żeglarska". Zostało to odczytane jako nawiązanie do noweli Henryka Sienkiewicza o takim samym tytule i losów okrętu Purpura jako dziejów Polski. Artysta ofiarował go Wileńskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk. Współcześnie znajduje się w zbiorach Litewskiego Muzeum Sztuki w Wilnie.

Współorganizator Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie. Na ASP w Krakowie

W 1900 roku wstąpił do Towarzystwa Artystów Polskich „Sztuka" w Krakowie i tam również wystawiał swoje prace. Wtedy to zetknął się z krakowskim teatrem. Brał udział w organizacji Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie wraz z Ksawerym Dunikowskim, Kazimierzem Stabrowskim, Karolem Tichym. W 1904 roku został jednym z jej profesorów. Ulubionym miejscem wykładowcy stały się Łazienki Królewskie, do których zabierał studentów.

W roku 1907 objął po zmarłym Janie Stanisławskim katedrę pejzażu na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Latem 1907 roku został wybrany prezesem TAP „Sztuka", której przewodził ponad rok. W 1908 roku wraz z Józefem Mehofferem przygotował ekspozycję sztuki polskiej w Wiedniu. Po zakończeniu roku akademickiego złożył rezygnację z katedry. Powodem były trudne stosunki w gronie wykładowców – wybitnych artystów. Powrócił do Bohdanowa. W tym okresie (1907–1908) powstał jego ostatni duży obraz olejny „Gniazdo". Do malarstwa sztalugowego właściwie już nie powrócił.

W końcu roku 1908 osiadł w Wilnie, zamieszkał w dzielnicy Zarzecze. Rozpoczynał nowy rozdział w życiu artystycznym. Jego niezwykle różnorodna działalność miała odtąd na nowo rozbudzić życie kulturalne miasta, zainteresować nie tylko jego mieszkańców, ale ogół rodaków historią Wilna i Wileńszczyzny oraz ich zabytkami.

Ważną częścią twórczości Ruszczyca był teatr. Uważał, że jest połączeniem wszystkich sztuk. Pierwszą znaną pracą artysty w teatrze była realizacja oprawy scenicznej do „Lilli Wenedy" Słowackiego w Teatrze Polskim w Wilnie w 1909 roku. Przypomnieć należy „Warszawiankę" Wyspiańskiego, gdzie wykorzystał własne meble do dekoracji. W 1911 roku w Teatrze Lutnia inscenizował „Sny o Pięknie". Szkicował kostiumy, pisał teksty poetyckie oraz opracował program widowiska. Teksty deklamował Juliusz Osterwa, którego Ruszczyc bardzo cenił. Duży rozgłos przyniosła mu inscenizacja w 1913 roku „Wieczoru poezji", poświęconego Mickiewiczowi, Wyspiańskiemu i Krasińskiemu. Przed I wojną światową wykonał jeszcze scenografię do „Balladyny" w Teatrze Polskim w Warszawie.

Po przerwie spowodowanej I wojną światową oraz wojną polsko-bolszewicką, już jako dziekan Wydziału Sztuk Pięknych w latach 1920–1922 inscenizował, ale także reżyserował doroczne wieczory akademickie. Przedsięwzięcie na wielką skalę angażowało studentów, którzy stawali się aktorami. Ruszczyc wciągał w prace również środowisko artystyczne Wilna. Znanych jest kilkanaście inscenizacji teatralnych artysty. W 1924 roku przygotował scenografię do „Cyda" Corneille'a w parafrazie Wyspiańskiego, a ostatnią jego inscenizacją była „Noc listopadowa" Wyspiańskiego z okazji setnej rocznicy wybuchu Powstania Listopadowego. Przedstawienie odbyło się w Teatrze na Pohulance kierowanym wówczas przez Aleksandra Zelwerowicza.

Ambasador sztuki wileńskiej

W październiku 1913 roku Ruszczyc ożenił się z młodszą o ponad dwadzieścia lat Reginą Ludwiką Elizą Rouckówną, ślub miał miejsce w wileńskim kościele pw. św. Bartłomieja (na Zarzeczu). Z małżeństwa tego na świat przyszło sześcioro dzieci: Janina, Edward, Oskar, Ewa, Andrzej i Barbara.

W latach 1910–1911 był redaktorem i wydawcą wraz z Wacławem Studnickim „Tygodnika Wileńskiego". Ukazało się szesnaście numerów czasopisma, ale kwietniu 1911 roku zostało zamknięte przez cenzurę carską. W tym samym roku założył Koło Artystyczne młodzieży wileńskiej, któremu przewodniczył, a zebrania odbywały się w jego mieszkaniu. Od 1909 roku należał do Towarzystwa Szubrawców, a od 1911 roku był także członkiem Towarzystwa Rolniczego.

W 1912 roku przekonał prezydenta miasta Michała Węsławskiego do założenia miejskiego archiwum fotograficznego. Na prowadzenie tego dzieła namówił znanego sobie fotografa Jana Bułhaka, który przeniósł się do Wilna i podjął zadania w tej dziedzinie. W przyszłości będzie nazywany nestorem polskiej fotografii.

Malarz był wielkim miłośnikiem miasta i jego zabytków. Oprowadzał po nim niezliczone wycieczki i osobistości. Pisał i publikował artykuły o zabytkach Wilna i Wileńszczyzny. Był honorowym członkiem – i członkiem zarządu – Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie.

Ważne miejsce w działalności artysty zajmowała grafika książkowa. Przed pierwszą wojną światową powstały jego najpiękniejsze opracowania typograficzne: „Tygodnika Wileńskiego", almanachu „Żórawce", winiet na okładkę i stron tytułowych m.in. do książek „Szubrawcy w Wilnie", „Immortele Słowackiego", „Wilno z przed stu lat", „Litwa i Ruś – pamięci Syrokomli". Zaprojektował również wiele druków okolicznościowych.

Dokończenie w następnym numerze.

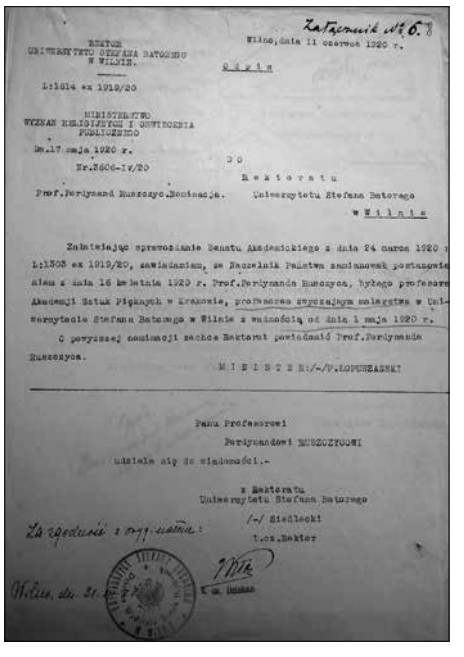

Załącznik № 6.

REKTOR
UNIWERSYTETU STEFANA BATOREGO
W WILNIE.

Wilno, dnia 11 czerwca 1920 r.

L:11614 ex 1919/20

MINISTERSTWO
WYZNAŃ RELIGIJNYCH I OŚWIECENIA
PUBLICZNEGO

W.17 maja 1920 r.
Nr.2606-IV/20

Rektoratu
Prof.Ferdynand Ruszczyc.Rezydencja. Uniwersytetu Stefana Batorego
w Wilnie

Zaświadczam, że Rozporządzeniem Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z dnia 14 maja 1920 r. L:11308 ex 1919/20, zawiadomiłem, że Rada Ministrów Państwa zniosła postanowienie z dnia 16 kwietnia 1920 r. Prof.Ferdynanda Ruszczyca, byłego profesora Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie, przyznane czynnym malarstwem w Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie z ważnością od dnia 1 maja 1920 r.

O powyższej nominacji zechce Rektorat powiadomić Prof.Ferdynanda Ruszczyca.

MINISTER: /-/ W.ŁOPUSZAŃSKI

Pana Profesorowi
Ferdynandowi RUSZCZYCOWI
udziela się do wiadomości.-

z Rektoratu
Uniwersytetu Stefana Batorego
/-/ Siedlecki
Sekr.Rektor

Za zgodność z oryginałem:

Nominacja prof. Ferdynanda Ruszczyca na stanowisko profesorskie Uniwersytetu Stefana Batorego, Wilno 1920 r.

Fundacja im. Zygmunta Zaleskiego

Kultura najważniejszą bronią Polaków

Słowa w podtytule wypowiedział patron fundacji, gdy przebywając od 1910 roku w Paryżu na emigracji, zrozumiał, że francuskie elity bardzo zbliżone do rosyjskich i zafascynowane wręcz Rosją, nie traktowały Polaków, jako narodu, który może żyć w oderwaniu od Rosji. Wówczas Zygmunt Zaleski, w 1914 roku (jako kaleka nie mógł walczyć na wojnie) rozpoczął cykl wykładów o polskiej kulturze, literaturze, zaczął przekonywać francuskich intelektualistów do wielkości polskiej tradycji i kultury – obszerne informacje na ten temat znajdzie Czytelnik na stronie fundacji: zygmuntzaleskistichting.pl.

Fundacja im. Zygmunta Zaleskiego została założona w 1990 roku w Holandii przez Romana Zaleskiego, syna Zygmunta Lubicz-Zaleskiego. Ustanowił ją, aby uhonorować pamięć ojca. Pan Roman należy do zamożnych Polaków, do tych, którzy osiągnęli sukces i zrobili karierę finansową na Zachodzie, ale nie zapomnieli o swojej Ojczyźnie, Ojczyźnie ich rodziców, dziadów, pradzidów... Pan ten pięknie łączy biznes z kulturą! Jego brat, prof. Kazimierz Lubicz-Zaleski jest naukowcem, od lat związanym – można powiedzieć, że po ojcu – z Towarzystwem Historyczno-Literackim, z Biblioteką Polską w Paryżu. Gdy Fundacja Artura Rubinsteina organizowała w Paryżu koncerty i wystawy w hołdzie Fryderykowi Chopinowi i Arturowi Rubinsteinowi, gros tych wydarzeń odbywało się w Bibliotece Polskiej, były wspierane towarzysko, finansowo i merytorycznie przez Bibliotekę i Pana Profesora.

Zygmunt Zaleski urodził się w 1882 roku w rodzinie ziemiańskiej, ojciec był inżynierem agronomem, matka pianistką – zatem na fortepianie grał i syn. To, że od lat fundacja Zaleskiego wspiera w Polsce m.in. młodych pianistów, występujących licznie także na Rubinstein Piano Festivalach w Łodzi, jest zapewne i pewnym hołdem składanym przez zarząd Fundacji i przez Obu Panów braci Zaleskich ich ojcu, wielkiemu miłośnikowi muzyki fortepianowej, człowiekowi kultury.

Jak można przeczytać na stronie Fundacji: „od początku działalności, głównym celem Fundacji było wspieranie rozwoju polskiej kultury, zarówno w Polsce, jak i we Francji. Przez prawie 30 lat Fundacja wspierała Bibliotekę Polską w Paryżu, jedną z najważniejszych polskich instytucji kulturalnych za granicą, której dyrektorem jest Kazimierz Piotr Zaleski, brat Romana. Przekazane przez Fundację wsparcie finansowe pozwoliło nie tylko na utrzymywanie Biblioteki i jej otwarcie dla publiczności, ale również na uratowanie niszczejącego budynku, poprzez przeprowadzenie generalnego remontu, oraz renowację części zbiorów". Czy taka działalność nie jest właśnie kontynuacją działań ich ojca, przesłania, że „Kultura najważniejszą bronią Polaków?".

Portret rzeźbiarski Zygmunta Zaleskiego, autorstwa Xawerego Dunikowskiego, Paryż 1915

W swoich działaniach Fundacja im. Z. Zaleskiego skrupulatnie dobiera popierane projekty, pomaga tam, gdzie widzi dobre efekty, np. sukcesy artystyczne popieranej młodzieży; m.in. od ponad 20 lat Fundacja współpracuje ze Stowarzyszeniem Kulturalnym Animato, które zajmuje się wyszukiwaniem i promowaniem uzdolnionych młodych pianistów, którzy już ukończyli szkołę, ale nie rozpoczęli jeszcze profesjonalnej kariery.

Ale wsparcie od Fundacji otrzymują także tak szacowne instytucje jak np. Zamek Królewski w Warszawie, dla którego zakupili dwa XVIII-wieczne kobierce, a do Zamku Królewskiego na Wawelu Fundacja zakupiła XVI-wieczny arras. Imponujące są inne dary przekazane przez Zaleskich polskim instytucjom, a jak czytamy na stronie Fundacji: „Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku otrzymało od Fundacji portret Heleny Białynickiej-Biruli, namalowany przez Stanisława Ignacego Witkiewicza; Fundacja pomogła przy organizacji wystawy „Orzeł Biały — Stanisław August Poniatowski, ostatni król Polski, kolekcjoner i mecenas sztuki epoki Oświecenia". A to tylko mały wybór hojności i ogromnej pomocy Zaleskich niesionych polskiej kulturze.

Na łamach naszego czasopisma wielokrotnie pisaliśmy o matce braci Zaleskich, pani Marii ze Zdziarskich Zaleskiej, damie orderu Virtuti Militari, żołnierzu Armii Krajowej, Kobiecie o niesamowitym i pięknym polskim życiorysie, matce trzech synów i córki. Pani Maria pochodziła z majątku Grotowice nad Pilicą w gminie Rzeczyca w powiecie rawskim. Nie ma dziś tam ich dworu, zachował się park, kapliczki. Jako że rodzina ta związała się z Paryżem, jak wspomniany Chopin, także Mickiewicz, ale i Norwid, cisną się na usta słowa tego wieszcze o pięknie: „Bo piękno na to jest, by zachwycało. Do pracy – praca, by się zmartwychwstało".

W.S. Grochowalski

Geotermia Mazowiecka S.A.

Geotermia Mazowiecka jest firmą branży energii odnawialnej. Poza szeroką działalnością biznesową, firma wspiera kulturę, a już stale i od lat m.in. Dom Pracy Twórczej w Radziejowicach. Sfinansowali m.in. wydanie nowej książki tej ważnej instytucji kultury, książka opisana została na str. 9. Prezes zarządu Geotermii p. Marek Balcer, w słowie wstępnym do książki napisał, że właściwie jego osobiste związki z Radziejowicami zbiegły się z pojawieniem się tam Bogumiła Mrówczyńskiego jako dyrektora, a u niego z rozpoczęciem działalności Geotermii. Od początku istnienia firmy, wspiera ona z entuzjazmem działalność kulturalną i wydawniczą DPT w Radziejowicach.

Firma powstała w czerwcu 1994 roku z inicjatywy władz samorządowych Żyrardowa, jako spółka akcyjna „Geotermia Żyrardowska". Jest to nowoczesna firma w branży pozyskiwania i przetwarzania energii odnawialnej. W 1995 roku w wyniku dużego zainteresowania eksploatacją wód geotermalnych, rozszerzyli działalność, dochodzili nowi udziałowcy i w konsekwencji firma przyjęła obecną nazwę „Geotermia Mazowiecka" SA.

Geotermia Mazowiecka SA wytwarza ciepło w sześciu własnych źródłach: Mszczonowie, Sochaczewie, Chodakowie i Trojanowie, Ożarowie Mazowieckim, Błoniu i Żyrardowie. Tak Mszczonów, jak Radziejowice – że o innych miastach nie wspomnimy – dawniej leżały w woj. rawskim; o Rawie także wspominamy w tym numerze.

Jak można przeczytać na stronie internetowej firmy: „stale dba o zadowolenie Odbiorców, podwyższa jakość usług, inwestuje w nowe niskoemisyjne technologie i infrastrukturę. Jednocześnie dokłada wszelkich starań, aby przestrzegać rygorystycznych norm bezpieczeństwa ekologicznego, realizując tym samym unijną politykę minimalizowania emisji gazów cieplarnianych do atmosfery. Geotermia Mazowiecka S.A. to firma o nieograniczonych możliwościach w pozyskiwaniu czystej energii i wody pitnej. Dzięki ciągłym inwestycjom w zasoby ludzkie i sprzętowe, staliśmy się liderem na rynku geotermalnym".

Jak wskazano wyżej firma prowadzi działalnością biznesową, wspiera kulturę. Ale wspiera i prowadzi także inwestycje prospołeczne, zdrowotne. I tak w 2020 r. dofinansowali budowę skweru na osiedlu mieszkaniowym Dworcowa w Mszczonowie, wybudowali tam tężnię solankową, dwa zdroje parkowe z wodą pitną, dwie mini fontanny. Tężnie solankowe to popularne ostatnio w wielu miastach drewniane konstrukcje wyposażone w pompę, która rozprowadza solankę po odpowiednio rozmieszczonych gałęziach, czasami tężnia jest w kształcie długich pochyłych ścian z owych gałązek – jak np. w Ciechocinku czy innych uzdrowiskach. Tężnie w Ciechocinku (trzy) powstały w XIX w. i są największe w Europie. Ściekająca po gałązkach solanka wytwarza specyficzny mikroklimat, wdychając takie powietrze wspomaga się leczenie chorób układu oddechowego, wzmacnia się system odpornościowy. Jest to swoiste inhalatorium.

Największym akcjonariuszem Geotermii jest Gmina Mszczonów posiadająca 21,61% akcji, następni to: Gmina Ożarów Mazowiecki – 19,05%, Gmina Błonie – 16,26%, Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (WFOŚiGW) Warszawa – 13,57%, WFOŚiGW Łódź – 11,92%. Ci mniejsi: Gmina Miasto Sochaczew, PGK Żyrardów Sp z o.o., PEC Sochaczew Sp. z o.o., Energetyka cieplna Sp. z o.o. w Skierniewicach, S.M. w Mszczonowie, S.M. w Błoniu, pozostali akcjonariusze. *Red.*

Prawdziwa cnota krytyk się nie boi • There's no business like show business – jak mówią Amerykanie

Wieści z kosmosu

Jakaś potworna awantura wybuchła po powrocie z kosmosu naszego kosmonauty Sławosza Wiśniewskiego-Uznańskiego, albo Uznańskiego-Wiśniewskiego – zawsze mylę kolejność jego nazwisk w nazwisku: które jest jego żony panieńskie, a które jego kawalerskie. Awantura wybuchła w Polskiej Agencji Kosmonautyki, poszło o popularność i tantiemy. Szefowa tej agencji ma nie akceptować jego popularności: a to nie chce pokazywać jego zdjęć z kosmosu z pierogami, a to to, tamto… itd., itd. Ale kto pierwszy wyszedł z samolotu w Polsce po powrocie kosmonauty z kosmosu via USA? No, no… Właśnie jego żona Wiśniewska-Uznańska (albo Uznańska-Wiśniewska – po mężu, przepraszam, jeśli coś mylę). Więć rości sobie prawa autorskie do zdjęć z kosmosu; poza tym, ona lepiła p. Sławoszowi te pierogi, zatem ona ma prawa autorskie do „Polish Cosmos Ravioli" i szefowa Agencji nic nie wskóra. Trzeba było kupić jakieś gotowe np. u Grota (uwielbiam z serem) i nie byłoby teraz sporu. ALBO – robić w kosmosie poważne zdjęcia naukowe, a nie zajmować się pierogami!

Zatem, wystrzeliwujemy w kosmos całą trójkę?

Polityka; Szymon Polska 2026

Szymon Hołownia groził (przed wakacjami) odejściem z Polski 2050. „Nie mogę patrzeć na to, do czego ta partia została doprowadzona". Przeze mnie – powinien dodać.

A poszło wszystko o szefostwo partii (1% tzw. poparcia w sondażach, ale 15 posłów jeszcze z dawnego poparcia 15% zostało). Otóż p. Szymek palnął rok temu, że odchodzi z szefowania partii, bo obejmie wysokie stanowisko w ONZ. A gdy nie otrzymał stanowiska Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców – to powiedział znowu, że jednak będzie rządził partią Polska 2050, bo baby narobiły bałaganu – tzn. dwie kandydatki ministry startujące w wyborach o schedę po nim, gdy się „wycofał". A z kolei żadna z nich nie chciała wycofać się z wyborów na szefową, bo mają honor i kulturę, pani ministra kultury z tej partii tę kulturę też potwierdziła, to i nie ma się czemu dziwić: przyszłość należy do kultury – nie do polityki! (J2)

Wałęsa w takiej sytuacji, gdy głosowanie w NSZZ „Solidarność" w Hali Oliwii w 1981 roku nie poszło po jego myśli powiedział do delegatów:

– Jak to k… jest!? Miała być demokracja, a każdy głosuje jak chce!

No i Szymek też tak powiedział jak wrócił z ONZ – ale innymi słowami.

Z tym ONZ to też się przeliczył, bo to, trzeba po francusku zagadać – a on, ani me, ani be. Umie tylko „że tę". Po angielsku też dukał… Nawet prezydent Trump się wkurzył, gdy dowiedział się, że Szymek chce być wysokim komisarzem, i zakazał płacić składki na ONZ. Ale taki komisarz, to podobno musi mieć też jakieś wykształcenie, chyba wyższe – a p. Szymon ma jakieś średnie plus kursy: krasomówcze, kaznodziejskie, jak zapłakać etc. Po aresztowaniu rektora Kolegium Tumanum nie zdążył odebrać dyplomu tej akademii.

Najgorsze jest to, że żona p. Szymka odchodzi z wojska, była pilotem – chociaż wg ich rządowej nowomowy trzeba mówić pilotka! Powiedziała, że nie ma na czym latać, bo wszystkie samoloty prez. Duda z prem. Tuskiem dali Ukraińcom, to co tam będzie siedzieć w hangarze i pić z chłopakami, woli zaopiekować się mężem, pocieszyć go. Tym bardziej, że wybuchła nowa afera z panią ministrą Pełczyńską-Nałęcz, też kulturalna osoba, ale i jaka honorowa?

I powoli wyjaśnia się, dlaczego Ryszard Petru, mówił o święcie sześciu króli, 6 stycznia, zamiast Trzech Króli jak było od wieków, od narodzin Chrystusa. Będą to: Kacper, Melchior, Baltazar, Mateusz, Szymon (czyli Szymek), Donek. A za rok planują dołożyć siódmego – Ryśka. Bo wszystkie Ryśki to fajne chłopaki…

PS. W sumie to niełatwe życie mają ci politycy i polityczki. Oni ponoć muszą jeździć samochodem jako kierowca 100 km/dziennie, żeby wyrobić kilometrówki! Co za prawo!

Emeryturka

Na zdjęciu Rolls-Royce Phantom 2 z 1933 r. Tak się rozglądałem trochę za jakimś samochodem na emeryturę. Zdjęcie jest sprzed dwudziestu pięciu lat…, ale trzeba było już myśleć o przyszłości. No i przyszedł ten czas (!) i teraz pomyślałem sobie znów, że może na emeryturze warto by zmienić samochód na jakiś bardziej markowy. Może młodszy ode mnie? W sumie to chyba należy mi się powozić się choć trochę czymś luksusowym, po tych wszystkich utarczkach i zgryzotach fundowanych przez życie, władzę (a teraz i ZUS). No i przypomniałem sobie, że Rolls Royce'a jeszcze nie miałem, a i owszem, zachwycił mnie kiedyś w Poznaniu, 25 lat temu, właśnie ten piękny samochód – co widać na zdjęciu. Wtedy był dwadzieścia parę lat starszy ode mnie. A może i cena spadła z uwagi na wiek (jego!). Zdaniem Państwa (Czytelników): pasujemy do siebie? Czy musiałbym mieć i kierowcę? Szkoda by pewnie było komukolwiek go dawać. Ale można by i komuś pomóc, np. zawieść kogoś do ślubu, itd. *Redaktor*

Poszukiwany Zbigniew Ziobro, żywy lub martwy

Premier Donald Tusk dostaje białej gorączki, bo spełnia się przepowiednia Z. Ziobry sprzed lat, że premier i jego rząd są fujarami, nie mogą go złapać. W sumie Ziobrze nie przedstawiono żadnych zarzutów, czyli gonią go awansem.

Po zmianie władzy (13 XII 2023) pan premier Tusk chciał pokazać ex ministrowi „gdzie raki zimują" – może na Węgrzech? Ale nie ma jak pokazać. A latka lecą! I sił i władzy coraz mniej…

Po opublikowaniu przez Policję błędnego w treści listu gończego za ex-ministrem Zbigniewem Ziobro, ten zdenerwował się i wyjechał na Węgry, nad Balaton, ciepło było wtedy. Ludzie premiera napisali, że Ziobro mieszkał w Jaruzalu, a on mieszkał w Jeruzalu Rzecznik Komendy Stołecznej Policji w rozmowie z Wirtualną Polską starał się uspokoić sytuację i wyjaśnić, jak doszło do błędu. Jak przekazano, „nie wszyscy są z województwa łódzkiego i nie wszyscy znają wszystkie miejscowości", co miało być powodem literówki. Policja otoczyła wieś Jaruzal, helikoptery, czołgi, dwie dywizje – a Ziobro czekał w Jeruzalu. No ale ile można czekać!? Więc wyjechał.

I tu nie ma co czepiać się policjantów spoza woj. łódzkiego! Na filmie Stanisława Barei pt. „Miś", przecież jak wół pokazali, że takie pomyłki są. I nie było Londynu, tylko Lądek-Zdrój. Tak a propos jestem z województwa łódzkiego i nie byłem ani w Jeruzalu, ani w Jaruzalu, a w Lądku, Londynie (i Budapeszcie) byłem. Kolosalna różnica.

Ale p. Ziobro też sobie nagrabił, bo po co było mówić w Sejmie, że fujary (z PO) spieprzą sprawę i go nie dopadną. No to gonią króliczka!

Moje foto

Trochę mnie ucieszyło, że sprzedają zdjęcia ze mną, a trochę zdziwiło (że tak tanio). No bo, żeby za 90 Euro do druku, a z 75 Euro do internetu mnie proponować, to trochę chyba mało! Dlatego mam taką kwaśną minę na zdjęciu, pewnie przeczuwałem.

A proszę tak bez emocji policzyć: ubranie (w sumie jestem w garniturze), fryzura – pani Iwona trzyma cenę i nie podnosi mi jej – ale 3 dyszki trzeba było pewnie wtedy zapłacić, teraz płacę 5. Idę dalej: katalog festiwalu, sam go wymyśliłem i mocno trzymam żeby się nie rozpadł, bo dotarł prosto z drukarni i klej jeszcze był mokry. Ale to kolejne wydane pieniądze, na zdjęciu nie widać tej pracy. Wreszcie Hotel Grand, Sala Malinowa, w której pozowałem – też darmo mi jej nie dali. No i wreszcie wiek, miałem wtedy 53 lata! Facet w sile wieku chyba więcej jest wart…

Motyki

Po tym, gdy minister („ludowiec") Motyka kompromitował się w mediach czy np. wysłać polskie lotniskowce na jakąś operację (ciekawe, gdzie zacumowały?), ktoś oburzony na takiego ministra napisał na Facebooku wspomnienie o innym ministrze Motyce, z czasów komunistycznych. Otóż pewien artysta, mający słabość do przeklinania i klnący na władzę, na czym świat stoi, otrzymał zaproszenie do ministerstwa, by odebrać jakieś odznaczenie. Gdy wyjeżdżał, żona prosiła, nalegała, aby wytrzymał choć ten czas rozmowy z ministrem Motyką i nie klął jak szewc w jego obecności. Ale!, gdyby…, gdyby już nie mógł się powstrzymać od siarczystego skomentowania rzeczywistości, to niech powie podobne słowo z ostrą, twardą spółgłoską; np. ŻABA!

No i w gabinecie ministra Motyki artysta już nie wytrzymuje, jest u kresu wytrzymałości, gryzie się z język, aż minister kończy spotkanie. Idą do drzwi, minister coś tam gada jeszcze ku oburzeniu artysty, więc ten nie wytrzymuje i mówi głośno, siarczyście: ŻABA!

Na to Motyka rozgląda się po gabinecie i mówi:

- Skąd tu k… żaba?

Jaki premier – taki zamach

Tuż przed II turą wyborów prezydenta Krakowa, gdy kandydatka PO/KO/ZSL/PSL itd. dołowała i widać było, że może przegrać z kretesem, przerażone media rządowe w likwidacji zgłupiały. No i nagle puściły wiadomość, że przygotowywany jest zamach na premiera rządu.

Gdy w niedzielę 11 X 2026 okazało się, że kandydatka PO/KO/ZSL/PSL itd. jednak „przeżnie" te wybory – szef służb powiedział, że zamachu nie będzie, zamachowca złapali. Wtedy przeciwnicy PO/KO/ZSL/PSL itd. zaczęli wręcz drwić z tej sytuacji, że to robienia hucpy, nazywali to szopką, itd., itd.

Ale! Aby wzmocnić odwrócenie uwagi zawiedzionego i przegranego elektoratu od porażki, też jakoś dwa dni wcześniej media rządowe w likwidacji puściły inną przykrywającą wiadomość. Otóż były minister rządu PO/KO/ZSL/PSL itd. niejaki Michał „Cicho, Cicho" Kołodziejczak nagrywał panią, z którą uprawiał seks. I chyba pokazał komuś ten film, może chwaląc się np., jaki to on jurny, więc pani się zdenerwowała, zadzwoniła do niego, a on pyta: ile chce? 10 tys., 20 tys. 30 tys. …. Mówił o złotych – nie euro, frankach czy dolarach. No to ona jeszcze bardziej się wkurzyła, popłakała, teraz jego nagrała, itd., itd.

PS. te słowa tytułowe to przypomnienie buńczucznych słów polityka PO dziś KO po zamachu (nieskutecznym, można powiedzieć: pierwszym zamachu) na prez. L. Kaczyńskiego w Gruzji. No i co? Mówi to panu coś? Ale te ostatnie słowa to jeszcze z innej komedii…

Stronę satyryczną oprac. W.S. Grochowalski

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Magazyn KULTURA i BIZNES, wydawca: Fundacja Kultury i Biznesu, 90-007 Łódź, ul. Piotrkowska 112, tel. 42 632 79 39, e-mail: redakcja@kulturaibiznes.pl, www.kulturaibiznes.pl Redaktor naczelny: Wojciech Stanisław Grochowalski. Skład i łamanie: Studio Graficzne Agaty Sobiepańskiej. Projekt: Wojciech St. Grochowalski. Konto bankowe: PKO SA II O/Łódź 51124030281111000028241548. Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. ©Wszelkie prawa zastrzeżone. Nakład 7.000 egz.